M. B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: ZDZISŁAW STRZĘPEK *Ostatni cud świata* ● KONRAD FREJDLICH *Mali, biedni ludzie* ● TERESA SOCHA-LISOWSKA *Nieporozumienie* ● ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI *Meksyk w Jugosławii* ● LUDMIŁA MOLENDA *Nowa szata Niobe* ● *Felietony* ● *Recenzje* ● *Nowela*

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

2. VIII. 1970 r.
31 (663)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. A. Wach

MONIKA BOGUCKA

LIPCOWE WATERLOO

niedoszłych studentów

Przed listami obwieszczającymi wyniki egzaminów na wyższe uczelnie pusto. Przyjęci zdążyli się już nacieszyć kilkakrotnym sprawdzeniem swego nazwiska, nie przyjęci upewnić, że egzaminu nie zdali. Wyniki znane, koniec napięcia, koniec wielkiej batalii o indeksy, jak — okazało się na wyrost — nazwano tegoroczne egzaminy wstępne. Bo też taka to była i batalia.

Poziom egzaminów był w tym roku niemal we wszystkich wyższych uczelniach w kraju jednakowy, to znaczy jednakowo niski. W ocenach powtarzały się te same sformułowania — luki w wiadomościach, nieumiejętność logicznego myślenia i kojarzenia faktów, pustosłowie, fatalna polszczyzna; w sumie bardzo często niczym nie uzasadniony wybór już nie tylko kierunku studiów, ale studiów w ogóle.

Co prawda liczono się z faktem, że w tym roku wyniki będą gorsze, bo tegorocznych maturzystów było niewielu, a większość zdających to ludzie, którzy już raz, a może i więcej razy próbowali, bez powodzenia, zdobyć studenckie ostrogi, ale nikt chyba nie przypuszczał, że będzie aż tak kiepsko. I żeby nie przytaczać zbyt wielu liczb, zajmijmy się wynikami egzaminów tylko na Uniwersytet Łódzki.

Do egzaminów na siedemnaście kierunków przystąpiło łącznie 3.042 kandydatów, z których zdało tylko 1.321 osób, a przyjęto 1.108. Na poszczególnych kierunkach wyglądało to tak. Ze 122 osób, które przystąpiły do egzaminów na historię zdało 40 osób, na 187 zdających egzaminy na filologię polską zdało 85, na biologię spośród 248 osób zdało 111, wreszcie na prawie na 527 osób — 169. Na tych kierunkach ilość osób, które zdały egzamin, wystarczyła przynajmniej na zapełnienie limitowanych miejsc, bo były i takie kierunki, które limitu, i tak znacznie w tym roku obniżonego, zapełnić nie zdołały. Na matematykę, przy limicie zmniejszonym do 150 miejsc z 220 osób, które przystąpiły do egzaminów, zdało 100 kandydatów. Na fizyce, przy zmniejszonym limicie 80 miejsc, z 80 osób zdających, egzamin zdało 45, na chemii — 90 miejsc, do egzaminu przystąpiło 108 osób, a zdało 71.

Z przedstawionych poniżej liczb wynika, że na niektórych kierunkach dodatkowe punkty za pochodzenie nie odgrywały w tym roku praktycznie żadnej roli i został przyjęty każdy, kto zdał. Dotyczy to kierunków już od lat deficytowych — matematyki, fizyki, chemii. Podobno deficyt taki zaczyna być już w tej chwili zjawiskiem również w skali europejskiej, ale dla nas to marna pociecha.

Dalszy ciąg na str. 5

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Szyfr o ojczyźnie

Oto temat, nieustający w polskiej pamięci. I forma — uproszczona do nagiej prawdy, do nagiej śmierci — jak wyschnięty piszczel, wyorany z pól bitewnych. Oto jest dom, którego nie ma. I ludzie, którzy nie ma, a którzy naprawdę byli, są i będą. Z imienia i nazwiska — i bezimienni, śpiący pod krzyżem miecza warszawskiej Nike.

Nowy Świat nr. 12, na wprost gmachu BGK. Długie podwórze, kończące się na tyłach Muzeum Narodowego. Oficyny, przybudówki, warsztaty rzemieślnicze, składy szopy i piwnice kryły w swych zakamarkach tajemnice polskiego podziemia. W prawej oficynie landara, przekształcona na skład chemikaliów i narzędziownię Bernarda Mencla, była miejscem spotkań konspiratorów z różnych politycznych kręgów. Tu, za płatami dykty i zwojami tapet, przy stercie koksu, wśród drabin, wiader i puszek z farbami, toczyli tajemne rozmowy Wojtek Mencel, Gaycy, Stroiński, Bartelski, Bratny, Jędryka, bracia Kononowicze, tu zaglądał Turlejski, Rumiński, Bartoszek, Rybicki, Machno, Klonowicz, Altenberger, Matłachowski, Szymański, Kula i inni. Tu mijały się, nie wiedząc wzajem o sobie, słynna łączniczka „Myszka" z Pawiaka, urokliwa Ala z AL-u i Łucja od Żegoty. Tu był punkt kolportażu SZTUKI I NARODU i innych pism podziemnych. Tak hartowała się polska stal, tak gromadził się ludzki dynamit i łatwopalne słowo, nim nastąpiła samoczynnie nieunikniona eksplozja...

...Ano zaczęło się wreszcie „oczekiwane święto". Sypnęło stalowym grochem po asfalcie i płytach chodnika. Posypał się tynk i szkło. Ulica nagle opustoszała. Ze zgrzytem i trzaskiem zamykają się bramy i opadają żaluzje. Zegar wybił GODZINĘ W: czas ognia, żelaza, krwi. Znów stalowy bicz podciął asfalt. Kamienną, martwą makietę ulicy odczarowała nierzeczywista iskra życia: solistka na pustej scenie — szesnastoletnia dziewczyna w harcerskim kostiumie z biało-czerwonym akcentem na ramieniu — przebiega jezdnię. W tej pustce przeraźliwie samotna, jak wbiegający na bezludny stadion zwycięzca. Podcięła ją seria od strony BGK. Padła na wprost naszej bramy. Władek Raźny wysunął się, żeby... zakurzyła pod nim płyta chodnika. Zwalił się tuż przy bramie. Miał strzaskaną nogę. Próbujemy bosakiem strażackim ściągnąć ranną. Odstrzelony, żelazny szczyt bosaka wczepił się jak kotwica w martwe już ciało. Posypali ogniem po bramie. Do dziś widzę GODZINĘ W w okienku judasza, w które, jak w kadr filmowy, wkomponowała się dziewczyna na asfalcie z biało-czerwoną opaską. Niemcy panowali nad tym fragmentem miasta. Silne załogi i stanowiska ogniowe w BGK, Muzeum, Sejmie i PZU. Byliśmy zamknięci w saku, którego jeden wylot związany był ogniem z BGK, a drugi, od strony Muzeum, żelazną kompanią SS-Galizien. Z domu Nowy Świat 12, jak i z domów, wsparte tyłami o Smolną, spędzono ludność w podziemia Muzeum. Poprowadzono też tutaj grupę Żydów — obywateli państw neutralnych. Pośród rozrzuconych w bezładzie rekwizytów, skrzyń, gablotek i poniszczonych eksponatów, siedzieliśmy wsłuchani w koncert walczącej Warszawy. Ponury szpicel rozdaje „poufnie" fałszywe ulotki dowództwa AK, wzywające rodaków do kapitulacji. Nazajutrz pojawił się młody oficer SS z pejczem w dłoni. Bacznie wpatruje się w twarze mężczyzn.

Dalszy ciąg na str. 3

ŻE ŚWIATA

Obradująca PIERWSZA W NOWEJ KADENCJI SESJA RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR — poza ponownym wyborem N. Podgornego na przewodniczącego swego Prezydium i A. Kosygina na premiera — przyjęła dwa ważne oświadczenia: potępiła agresję USA w Indochinach oraz udzieliła poparcia narodom arabskim.

Pierwsze z wymienionych oświadczeń, akceptujące w pełni polityczną i praktyczną działalność rządu radzieckiego w sprawie pomocy dla narodów Indochin, zawiera również apel do parlamentarzystów wszystkich krajów oraz wszystkich ludzi dobrej woli. Nawołuje do protestu „przeciwko agresywnym działaniom rządu amerykańskiego w Indochinach" oraz do wypowiedzenia się „za niezwłoczną, całkowitą i bezwarunkową ewakuacją wojsk USA i ich sojuszników z tego rejonu", a także „za zapewnieniem narodom Indochin prawa do samodzielnego, bez obcej ingerencji decydowania o swoim losie". Chodzi o to, aby zmusić rząd USA do ścisłego przestrzegania układów genewskich z 1954 i 1962 roku.

W oświadczeniu o sytuacji na Bliskim Wschodzie Rada Najwyższa daje wyraz swej trosce i niepokojowi w związku z zagrożeniem, jakie stwarzają agresywne działania Izraela. „Sens obecnej polityki Izraela — czytamy w oświadczeniu — polega na tym, aby zablokować drogę do politycznego uregulowania sytuacji..., wzmóc nacisk na kraje arabskie, dążąc do utrwalenia wyników swej agresji". Alternatywą dla uregulowania konfliktu, w oparciu o pełne wykonanie rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 22 listopada 1967 roku, może być tylko narastanie niebezpieczeństwa wojny. Dlatego też „zdecydowane posunięcia wszystkich, którym drogie są ideały pokoju, wolności i niepodległości narodów oraz potępienie i izolacja agresora i jego protektorów — winny zmusić ich do rezygnacji z kontynuowania awanturniczej polityki".

> *„Rada Najwyższa uważa, że każde państwo Bliskiego Wschodu ma prawo do samodzielnego istnienia narodu, do niepodległości i bezpieczeństwa.*
>
> *Związek Radziecki uważał i uważa, że panami sytuacji na Bliskim Wschodzie mogą być tylko narody i rządy państw tego regionu".*

Jak należało oczekiwać, oba oświadczenia, ale zwłaszcza bliskowschodnie, spotkały się z szerokim zainteresowaniem na całym świecie. W komentarzach prasowych podkreśla się zdecydowanie, z jakim ZSRR dąży do pokojowego uregulowania konfliktów.

Warto zaznaczyć, że opublikowanie obu dokumentów niemal zbiegło się z zakończeniem w Moskwie rozmów z prez. Naserem i ogłoszeniem wspólnego komunikatu. „Sukces rozmów moskiewskich — pisze kairski „Al Ahram" — był szokiem dla kół imperialistycznych i syjonistycznych". „Ujawniły one ducha przyjaźni i wykazały istnienie zrozumienia oraz współpracy między ZRA i ZSRR". Zbiegło się ono również z NASILENIEM WALKI ANTYIMPERIALISTYCZNEJ W KAMBODŻY, czemu w kolejności chcemy poświęcić nieco uwagi.

Z autorytatywnych źródeł wynika optymistyczna ocena tej walki. Wyzwolona została niemal połowa terytorium kraju o ludności liczącej ok. miliona mieszkańców. Taki rozwój działań był możliwy przede wszystkim dzięki szerokiemu poparciu ludności.

Obserwatorzy zwracają także uwagę na fakt, że z każdym dosłownie dniem rośnie liczba rozczarowanych wśród zwolenników Lon Nola. Jego reżim szybko bowiem skompromitował się. Praktyka wykazała, że jest on w stanie utrzymać się u władzy tylko w oparciu o obce bagnety. Było to jednym z czynników radykalizacji społeczeństwa.

Sytuacja militarna w Kambodży — całkowita kontrola frontu wyzwolenia nad pięcioma prowincjami — rodzi przypuszczenia, że Sihanouk w niedalekim czasie może przybyć z wizytą do któregoś z rejonów Kambodży. Co wobec tego warte są amerykańskie przechwałki o „sukcesie" operacji wojsk USA — nie musimy wyjaśniać.

I jeszcze jeden temat w dzisiejszym przeglądzie aktualiów — wiedeńskie rokowania, dotyczące ograniczenia zbrojeń strategicznych.

ROZMOWY RADZIECKO-AMERYKAŃSKIE na temat SALT rozpoczęły się 16 kwietnia. Chociaż nigdy data ich zakończenia nie została ojcjalnie podana do wiadomości — przypuszczano jednak powszechnie, że zamknięte zostaną 10 bm. Tymczasem już po tym terminie, odbyła się 24 sesja robocza i zapowiedziano kolejną. Fakt ten komentowany jest jako gotowość rozmawiających stron wyjaśnienia do końca wszystkich problemów. Źródła amerykańskie podkreślają, że „żaden konkretny projekt nie został przedstawiony zarówno przez jedną, jak i drugą stronę", ale rozmowy postępują naprzód z pozytywnymi rezultatami. Zdaniem obserwatorów — obecne rozbieżności poglądów, w tym także co do samego zdefiniowania broni strategicznej, nie zagrażają zawarciu ewentualnego układu o ograniczeniu nosicieli broni nuklearnej.

Czy wszystko to zapowiada pomyślny wynik wiedeńskich rokowań — przedwcześnie byłoby wnioskować. Problem jest przecież bardzo złożony i trudny.

W. SŁAWSKI

ZDZISŁAW STRZĘPEK

OSTATNI CUD ŚWIATA

Z punktu widzenia dobra człowieka do największych osiągnięć naukowo-technicznych naszego wieku zaliczyć należy bez wątpienia LASER! Otworzył on przed ludzkością nowe, niezwykłe, możliwości i to w przeróżnych dziedzinach ludzkiej działalności. Jawi się przede wszystkim jako wielki sprzymierzeniec, choć już coraz więcej mówi się na temat „promieni śmierci", „fotonowej broni", o której w powieściach fantastyczno-naukowych pisywali między innymi Wells i nasz Umiński.

DZIESIĘĆ LAT TEMU...

Dziesięć lat temu nikt jeszcze nie słyszał o laserach, choć droga do skonstruowania takiego urządzenia stała już otworem w wyniku postępu badań w zakresie fizyki kwantowej, stanowiącej dział fizyki jądrowej. Ustalono, iż można zmuszać posiadające nadmiar energii atomy do jej wydalenia. Ponieważ pochłanianie i pozbywanie się energii w świecie atomów i cząsteczek elementarnych odbywa się porcjami, a porcje zwą się kwantami (od łacińskiego słowa „quantum" — „ile"), stąd mówi się o fizyce, a szczegółowiej o elektronice kwantowej.

W 1954 roku jednocześnie w USA i ZSRR zbudowany został aparat zwany maserem. Nazwa jego pochodzi od angielskiego skrótu „Microwave Amplification by Stimulated Emission of Radiation", co się tłumaczy jako „wzmacnianie mikrofal poprzez wymuszoną emisję promieniowania". Fale elektromagnetyczne pobierały kwanty nadmiernej energii z atomów rozgrzanego amoniaku i w ten sposób wzmacniały się niepomiernie. Za ten wynalazek Rosjanie M. Basow i A. Prochorow wraz z Amerykaninem Ch. Towensem otrzymali Nagrodę Nobla.

Pierwszy laser powstał w 1960 roku. Skonstruował go Amerykanin T. Ch. Maiman. W urządzeniu tym zamiast mikrofal nośnikiem energii stało się światło (w angielskiej nazwie, w miejsce określenia „Microwave", przyszło określenie „Light" — światło, stąd i nowy skrót — LASER). Pierwszym był laser rubinowy. Lampa wyładowcza wysyłała promienie barwy zielonej do oszlifowanego kryształu rubinu, ładując atomy tego kryształu w nadmiar energii. Z kolei przychodził impuls świetlny o barwie czerwonej, który przejmował nadmiar kwantów i przez otworek w obudowie rubinu wydobywała się cieniutka wiązka światła o nieprawdopodobnej spójności i skupieniu. Jak się okazało może ona w takim stanie przebiegać odległości trudne do określenia: kosmos. Jednocześnie przynosi ona z sobą całą energię.

Co z tego wynika? Dziesięcioletnie badania nad laserami dowiodły, iż bardzo wiele, choć są one przecież jeszcze w powijakach. Pytanie, do czego laser można zastosować, trzeba natychmiast replikować pytaniem: do czego stosować go nie można? Z miesiąca na miesiąc z pracowni naukowych różnych krajów świata dochodzą coraz bardziej rewelacyjne wieści. Ostatnio jednak, jak donosi amerykański tygodnik „Aviation Week", rząd tego kraju kazał otoczyć badania nad techniką laserową ścisłą tajemnicą. Wiąże się to ze skierowaniem badań na tory militarne.

TELEFONY BEZ DRUTU

W Polsce pierwszy laser zbudowany został już w 1963 roku. W trzy lata później na 8-kilometrowej trasie: Pałac Kultury i Nauki w Warszawie — Wojskowa Akademia Medyczna, uruchomiona została pierwsza w kraju laserowa linia telefoniczna. Wymawiane słowa słychać bardzo wyraźnie. W Moskwie wiązki światła włączone już zostały do miejskiej sieci telefonicznej. Tego rodzaju łączność funkcjonuje także na dwóch odległych liniach, w tym Moskwa — Krasnogorsk. W ZSRR skonstruowano również przenośne lasero-telefony i eksperymentalnie zastosowane zostały na wielkim placu budowy. W ten sposób światło, którym już człowiek pierwotny przesyłał sygnały, na szeroką skalę wchodzi do łączności.

Perspektywy w tym zakresie są szalone. Wąska wiązka laserowych promieni może przenosić jednocześnie około 100 tys. rozmów telefonicznych lub około 10 tys. programów telewizyjnych. Wobec „tłoku w eterze", licznych zakłóceń, daje to niezwykłe możliwości w stworzeniu nie tylko globalnego, ale i kosmicznego systemu łączności. Zarówno amerykańskie, jak i radzieckie pojazdy kosmiczne z systemu tego już korzystają.

Zresztą laser znakomicie służy również do bardzo dokładnego mierzenia odległości na Ziemi i w kosmosie. Sondy kosmiczne odległe o milion kilometrów od Ziemi, lokatory laserowe namierzają z dokładnością do kilku metrów. O wiele dokładniej daje się zmierzyć głębokość księżycowych kraterów. Na Ziemi urządzenia te służą do precyzyjnego ustalania pionu wysokich budowli, szybów kopalnianych, czy prowadzenia podziemnych tuneli. W przyszłości ponoć sam laser ma takie tunele drążyć.

Laser neonowy naukowców wrocławskich

CAF — Fot. Wołoszczuk

ŚWIATŁO... NAJTWARDSZE

Dawniej diamenty przede wszystkim zdobiły piękne szyje. W naszych czasach gros tego najtwardszego minerału zużywa technika. Służy on do obróbki różnych metali i stopów oraz do techniki wiertniczej. Zresztą same diamenty obrabiane są za pomocą innych diamentów, co powoduje znaczne straty tego kruszcu, gdy technika potrzebuje go coraz więcej.

Przy pierwszym doświadczeniu silna wiązka promieni laserowych zmieniła diament w... zieloną parę. Okazało się wkrótce, że promieniami światła można znakomicie diament obrabiać. Stosowane są one do tych celów w radzieckiej fabryce narzędzi diamentowych w Rosławlu. I oczywiście sam laser szeroko już zastąpił diamenty. Żłobi on i tnie supertwarde stopy, obrabia stal, tnie skały i lody, może wiercić otwory geologiczne na głębokości, o jakiej dotąd nie śniło się poszukiwaczom podziemnych skarbów.

W Łodzi warto odnotować, iż ukazały się już pierwsze laserowe krajarki krawieckie. O innych zastosowaniach laseru w technice włókienniczej na razie jeszcze nie słychać. We wszystkich zastosowaniach nowe urządzenie bije na głowę poprzednie rozwiązania. Jest szczególnie precyzyjne. Światło robi otwory, które widać dopiero pod mikroskopem, spawa miniaturowe elementy, stosowane jest w produkcji części do zegarków oraz urządzeń super precyzyjnych. Służy do obróbki materiałów i do celów kontrolno-pomiarowych.

Trudno jeszcze przewidzieć jak ogromne zastosowanie znajdzie laser w chemii. Wiadomo, że potrafi w sposób błyskawiczny rozkładać materię. Eksperymentuje się jego zastosowanie w destylacji węgla, w produkcji tworzyw sztucznych, w wywoływaniu i kontrolowaniu reakcji chemicznych, zwłaszcza związanych ze światłem.

PROMIEŃ SKALPELEM I KOAGULATOREM

Zadziwia jak wiele laser już znaczy i jak wiele obiecuje w medycynie i biologii. Lekarze usuwają piegi i tatuaże, dotąd nieusuwalne, spajają siatkówki w oku, usuwają bezboleśnie różne narośla i nowotwory, przy tym operacja odbywa się bez wycieku krwi, gdyż promienie natychmiast zaskleplają naczynia krwionośne. Anglicy zastosowali już laser w miejsce spełniane dotychczas przez rentgen i to z dużo większym skutkiem.

W Klinice Chorób Oczu Akademii Medycznej w Warszawie od lat stosowany jest laser rubinowy. Okazuje się on narzędziem bardzo precyzyjnym i niezastąpionym. Obok klejenia siatkówki służyć on może oftalmologom do usuwania następstw gruźlicy oka, a nawet usuwania raka oka.

Olbrzymie możliwości odkrywają się przed genetyką. Świetlny lancet pozwala przenikać nawet do wnętrza komórek i w ich jądrach niszczyć niepożądane chromosomy, które, jak wiadomo, są nośnikami dziedziczności. W ten sposób powstała szansa wpływu na kształtowanie cech organizmu ludzkiego.

Jak widać laser, mimo, że jest dopiero dziesięcioletnim dziecięciem techniki, zrobił zawrotną karierę, największa w dotychczasowej historii wynalazków. W dalszym ciągu dziesiątki tysięcy naukowców pracuje nad jego zastosowaniem w różnych dziedzinach. Setki firm na całym świecie produkuje najrozmaitsze lasery. Obok laserów rubinowych mamy już dziś do czynienia z laserami gazowymi, szklistymi, neodymowymi, a także półprzewodnikowymi. W sprzedaży są minilasery, lasery szkolne, lasery do celów naukowych, meteorologicznych, energetycznych... poligraficznych.

FOTONOWA ŚMIERĆ?

W arsenałach niektórych krajów znajdują się już laserowe działa, karabiny, pistolety i miotacze światła. Niektóre doniesienia są absolutnie pesymistyczne. Francuski tygodnik „Nouvel Observateur" z zeszłego miesiąca np. pisze: „wydaje się, że nowa broń absolutna, jaką jest laser, jeśli nie przewyższa w działaniu broni jądrowej, to przynajmniej jej dorównuje". Tygodnik przytacza także opis francuskiego i amerykańskiego karabinu laserowego.

Karabin amerykański z baterią przenośną o ciężarze 12 kg, strzela światłem co dziesięć sekund. Bateria wystarczy na 10 tys. kolejnych odpaleń. Jest to prototyp, jeszcze nie może razić śmiertelnie, jedynie ośleplа i podpala odzież oraz różne substancje.

Silniejsze tego rodzaju urządzenia uśmiercają już szczury w USA i króliki we Francji. Potężne miotacze promieni mogą jednak dziurawić czołgi, podpalać składy amunicji i paliw, niszczyć różne urządzenia. Postęp w tej dziedzinie zachodzi jednak z miesiąca na miesiąc. Aktualny stan rzeczy nie jest znany, osłania go tajemnica wojskowa.

Celem badań jest uzyskanie tak silnej wiązki promieni, by przy jej pomocy niszczyć można różne obiekty nawet w kosmosie. Chodzi głównie o niszczenie rakiet międzykontynentalnych z głowicami jądrowymi lub satelitów na orbicie, nie mówiąc już o samolotach i helikopterach. Jedna z depesz donosiła, iż na poligonie w stanie Nowy Meksyk laser gazowy, wytwarzający super-gigantyczne impulsy świetlne, ze znacznej odległości spowodował wyparowanie pojazdów opancerzonych.

Miotacze ognia ustawione wzdłuż granic państwowych mogłyby całkowicie zabezpieczyć kraj przed atakiem, co przekreśliłoby cała obecna strategię wojskową. Działobitnie laserowe można jednak umieszczać w kosmosie, w tym na ciałach niebieskich i stamtąd atakować Ziemię. Bliższa i bardziej niebezpieczna sprawą jest jednak możliwość zastosowania laseru, jako zapalnika do bomby „H", to znaczy zastąpienie obecnego zapalnika, którym jest bomba „A" — droga, uranowa. W takiej sytuacji broń „H" stałaby się bardzo tania i powszechnie dostępna.

Ale stop! Miejmy nadzieję, że świat wykaże dosyć rozumu, podejmie konwencję o zakazie broni laserowej. Zakończmy artykuł akcentem optymistycznym. Technika laserowa daje szanse tworzenia i przesyłania obrazów trójwymiarowych. Wyobraźmy sobie siebie w kinie oglądających holograficzny, kolorowy film, lub oglądających przedstawienie teatralne na wielkim ekranie w domu. Obraz będzie jak w naturze — inny przy spojrzeniu z góry, inny z boku. Doświadczenia już trwają.

JERZY AUGUSTYNIAK

Wędrówki w czasie (przeszłym) i w przestrzeni (niewielkiej)

Jedziemy w czterech: Janusz, Jiro, Józek i ja. Jesteśmy ekspedycją konserwatora zabytków archeologicznych na województwo łódzkie. Cel: badania powierzchniowe w południowej części powiatu radomszczańskiego. Co to są badania powierzchniowe i dlaczego właśnie w radomszczańskim? „Powierzchniówka" to część zwiadu archeologicznego. Stanowisk do prac stacjonarnych — wykopaliskowych dostarczają: odkrycia przypadkowe (w wyniku erozji lub np. prac ziemnych, budowlanych itp.), analiza powierzchni ziemi, jej rzeźby, roślinności, dane ze źródeł pisanych, map i planów katastralnych, nazewnictwo miejscowe oraz druga część wywiadu archeologicznego tzw. metody czynne, do których zaliczyć należy m. in. fotografię lotniczą, metody geofizyczne, gleboznawstwo i badania powierzchniowe. Chodzimy po prostu po polach (najlepiej wczesną wiosną lub jesienią, kiedy ziemia jest świeżo spulchniona) i szukamy śladów osadnictwa prehistorycznego, czyli najczęściej popularnych skorup — ułamków ceramiki. A dlaczego w południowej części radomszczańskiego? Powodem bezpośrednim są ciekawe znaleziska z miejscowości Silniczka. Rok temu podczas badań wykopaliskowych natrafiono tu na cmentarzysko z XI w. Groby szkieletowe kobiet wyposażone m. in. w tzw. kabłączki skroniowe, paciorki szklane, w grobach mężczyzn grot włóczni, wiadro, miecz i hełm. Zwłaszcza hełm podnosi rangę stanowiska, jest to szósty egzemplarz znaleziony na ziemiach polskich i pochodzący z tego okresu. Znaleziska z Silniczki zwróciły uwagę archeologów na słabo dotychczas znaną południową część naszego województwa. Rzadziej docierały tu ekspedycje z ośrodka łódzkiego, brak muzeum regionalnego w Radomsku również wpływał na niewielką znajomość terenu.

„Nysa" z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi ma charakterystyczny, zielony kolor, jest już znana w Silniczce. Naszą bazą jest przyjazny dom pp. Smażyńskich. Rozpakowujemy bagaże, a mała Wiesia goni wszystkich, aby z nią pograć w piłkę. Jiro, który jest tu pierwszy raz, daje się wciągnąć w pułapkę i będzie rozgrywał maraton piłkarski do późnego wieczoru.

Rano start. Jedziemy w rejon Gidel i Pławna. Parę kilometrów za Silniczką rozstajemy się z p. Stanisławem, który będzie nas oczekiwał w Pławnie. Krótka analiza mapy i wybór trasy: najciekawsza wydaje się krawędź terasy nadzalewowej na tyłach zabudowań gospodarczych wsi. Pierwszy dociera tam Janusz i prawie natychmiast schyla się podnosząc coś z ziemi. Oglądamy fragment ceramiki, po chwili jest ich więcej. Janusz idzie dowiedzieć się, do kogo należy pole i przeprowadzić wywiad, Józek pakuje ceramikę i pisze metryki, ja robię zdjęcia i nanoszę stanowisko na mapę. Badamy zasięg występowania ceramiki, szkic sytuacyjny i zapis w notatniku: Gidle, stanowisko nr 1. Około 100 m dalej następne, potem jeszcze jedno. Leżą równolegle do zabudowań dzisiejszej wsi, dobre miejsce wybrali osadnicy przed tysiącem lat.

Chcemy iść dalej, ale nie ma Jira. Wracamy do drogi. Widać go z daleka jak rozprawia z jakimś mężczyzną. Mężczyzna jest właścicielem pięknej, zabytkowej chałupy z końca XVIII w., której pragnie się możliwie szybko pozbyć, by wybudować nowy dom. On chce się jak najszybciej wydostać z otoczenia przeszłości, my szukamy jej najstarszych śladów.

— Tam powinien być most, musimy przeprawić się na drugą stronę. Most jest, ale aby do niego dotrzeć, trzeba przejść dodatkowe 2 km terenem, który nas nie interesuje. Idziemy „na skrót". Spotkany po drodze dziadek zapewnia, że przejdziemy łąkami zupełnie dobrze. Błogosławimy go za chwilę, kiedy niewielka i głęboka struga wijąc się utrudnia dostęp do mostu.

W Pławnie mamy jeszcze dwa stanowiska. Duża ilość ceramiki z okresu rzymskiego (0—400 n.e.) i wczesnego średniowiecza oraz polepa sprawiają, że znajdą się one w planach badawczych na przyszły rok.

Wieczorem — przy mapie. Teren, po którym się poruszamy, to niegdyś wielkie lasy, znaczne ich pozostałości dotrwały do naszych czasów. Osadnictwo skupiało się w dolinach rzek. Zasiedlenie regionu łęczycko-sieradzkiego nastąpiło około połowy pierwszego tysiąclecia n.e. między innymi z Małopolski. Na pewno więc miał w tym swój udział badany przez nas obszar.

Tędy również przechodziła odnoga ważnego szlaku handlowego i administracyjnego północ — południe na odcinku Radomsko — Lelów. Oprócz połączenia Radomsko — Przedbórz i dalej do Krakowa traktem toruńsko-krakowskim, istniała zapewne droga z Radomska — międzyrzeczem Warty i Pilicy do Lelowa. To, że drogi związane były i są z osadnictwem, wie każde dziecko, jeżeli więc ustalimy zasięg i rozmiary osadnictwa wczesnośredniowiecznego, będzie można pokusić się o zrekonstruowanie przebiegu tego szlaku. Ale to później, na razie przechodzimy do sąsiedniego pokoju, aby obejrzeć transmisję telewizyjną z kosmosu.

W ramach spóźnionej wiosny, następnego, majowego ranka jedziemy na południe, nad Pilicę, która jest granicą województwa. Rzeka tu dzika, dużo łąk. Mimo, iż oddziela Małopolskę od Wielkopolski i Mazowsza, nie dzieli krajobrazu, lecz swą doliną tworzy jego centralny element. Dziś interesują nas trzy miejscowości: Pukarzew, Grodzisko i Borzykowa.

W Pukarzewie są stawy rybne i to ma decydujący wpływ na naszego kierowcę, który nawet nie narzeka na fatalne dziury w polnej drodze. Ale my szukamy grodziska, które ulokowało się tu oblane z dwóch stron odnogami Pilicy. Obrośnięte krzewami i drzewami wzniesienie kryje w sobie relikty kultury materialnej sprzed wieków. Wykonujemy dokumentację rysunkową i fotograficzną. Będziemy tu kopać w przyszłym roku. Okazuje się jednak, że nie jesteśmy pierwsi. U pobliskiego gospodarza dowiadujemy się, że „kopiec" interesował również hrabiego, który polecił wykopać sporą dziurę szukając naturalnie złota. Nie trzeba dodawać, że takie przedmioty, jak ułamki ceramiki, nieznane fragmenty żelazne itp. nie znajdowały uznania w oczach „badacza". Straciliśmy je bezpowrotnie.

Żona naszego rozmówcy strzygła olbrzymiego barana. Migały duże nożyce. — Czy pani wie, że te nożyce mają już ok. 1500 lat? Ta sama forma znajdowana była na stanowiskach pochodzących z okresu rzymskiego. — Ależ panie, jak mają z 50 lat to dużo, dostałam je od matki — oburza się gospodyni, patrząc na mnie niewyraźnie. — To właśnie takimi nożycami pracują nasze wycinankarki — mówię do Jira, ale i on patrzy z niedowierzaniem. Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić misterną siatkę wycinanki, wykonywaną takimi nożycami.

Grodzisko to nazwa wsi. Grodziska jednak nie znajdujemy. Nie wiedzą również o żadnym „kopcu" mieszkańcy. Być może został rozwieziony. Nazwa jednak musi być wzięta pod uwagę w całokształcie badań.

To w takim razie została jeszcze Borzykowa. Stajemy na chwilę w głębokim jarze, a Józek i Janusz idą sprawdzić pole po lewej stronie drogi. Nie mają nic, ale Janusz pyta, czy będzie postawione piwo za pewną wiadomość. Będzie postawione więc mówi, że napotkany gospodarz wskazał im pobliskie wydmy jakoby usiane „starymi garnkami". Zjeżdżamy w dół, ciągnąc za sobą tuman kurzu. Jest droga na prawo, a chłopak zajęty duszeniem pieska, objaśnia, że to już Borzykowa. Patrzymy na mapę: pasmo wydm ciągnie się na wschód, aż do samej Pilicy, ok. 3 km. Wchodzimy na piaszczyste wzniesienie, dużo ceramiki:

— Tak, jak się brało piasek na budowę domu, to były takie skorupy, ale to człowiek nie wiedział, to się wyrzucało... Popatrz pan, to takie stare... No, teraz to już będę wiedział... — dobiegają słowa sumitującego się tubylca, pouczanego przez Janusza. Mimo znacznej poprawy w zakresie podstawowej wiedzy o zabytkach archeologicznych, wciąż jeszcze spora ich ilość ginie bez śladu.

Rejestrujemy łącznie 3 stanowiska, ale nie dochodzimy do końca wydm. Tu trzeba jednak wrócić. Wjeżdżamy do Borzykowej. Piwo jest nie najlepsze, ale zimne. Siadamy w cieniu budynku sklepowego.

— Nie wiem, czy jest panom wiadome — tym razem zaczynam ja — że siedzimy na cmentarzu. Tu właśnie, na podwórku dzisiejszego gospodarstwa w 1959 r. prowadzone były prace wykopaliskowe na cmentarzysku z XIII w. Znaleziono 5 grobów. No, a w 1210 r. prawdopodobnie tu w Borzykowej, ze względu na centralne położenie w środku ziem polskich, odbył się zjazd książąt polskich: Leszka Białego, Konrada Mazowieckiego i Władysława Odonica, którego to postanowienia stały się podstawą niezależności kościoła od władzy państwowej w Polsce.

W pobliżu stawów znajdujemy jeszcze stanowisko z ceramiką wczesnośredniowieczną. Jest już późno, czas wracać, ale i do Borzykowej wpadniemy jeszcze nie raz.

Wracamy do Silniczki, a potem do Łodzi. Gdzieś w torbie, pod składanymi łóżkami i sprzętem leży mapa, na której przybyło kilkanaście nowych punktów — śladów działalności człowieka przed tysiącem lat.

Eksploracja jamy na wydmach pod Borzykową

Fot. J. Augustyniak

POLONICA

„AUTORZY DRAMATYCZNI Z POLSKI"

Pod tym tytułem zamieszcza paryski miesięcznik „La Pensée" artykuł znanej pisarki francuskiej, znakomitej znawczyni teatru, autorki pierwszej monografii o Jerzym Grotowskim, Raymonde Temkine. Artykuł ten omawia twórczość dramatopisarską kilku wybitnych polskich autorów, we Francji wystawianych lub publikowanych. Szczególnie ciekawe są uwagi o Tadeuszu Różewiczu, o którego szerszą znajomość wymownie się upomina autorka. Grano we Francji tylko trzy jego sztuki: „Kartotekę" w reżyserii André Louisa Perinettiego, „Świadków czyli naszą małą stabilizację", wystawionych przez D. Sereau oraz „Wyszedł z domu" (pt. Avis de recherche" — zespół „Vagants"). Zdaniem pani Temkine Różewicz jest w swej twórczości scenicznej przede wszystkim poetą. Otóż poezja jest trudniejsza do przełożenia na obce języki, niż humor. Niemniej autorka wierzy, iż autor „Starej kobiety" pewnego dnia, mimo wszystko, osiągnie pełne zwycięstwo na scenie francuskiej.

Raymonde Temkine pisze na razie o tych dramatopisarzach polskich, którzy już byli grani we Francji. Może z tego powodu nie uwzględniono tu Jerzego Szaniawskiego, którego „Dwa teatry" były jedynie prezentowane w radio paryskim i genewskim, w przekładzie Jadwigi Kukulczanki. Istnieje projekt wystawienia tej sztuki w tym tłumaczeniu w jednym z teatrów francuskich. To samo dotyczy utworów Janusza Krasińskiego, Antoniego Cwojdzińskiego, Bogdana Drozdowskiego oraz „Kosmogonii" Jarosława Iwaszkiewicza.

(wn)

KRAKOWSKA WYSTAWA WE FRANCJI

„Kraków — klejnot Polski", taki tytuł nosić będzie wystawa Bolesława Schönborna, która zobaczy Tuluza, a następnie Lyon, Dijon, Troyez, Bensancon, Paryż, Lille, Nancy i inne miasta francuskie.

(wn)

POLONICA

Szyfr o ojczyźnie

Dalszy ciąg ze str. 1

Wybranych kieruje w stronę schodów. To pierwsi zakładnicy, którzy będą osłaniać swym ciałem czołgi i piechotę niemiecką przed ogniem warszawskiej barykady. Ocaleni w tej grze w wybijanego znosili z pola walki do bazy rannych żołnierzy niemieckich. Cegiełka, robotnik malarski, który powrócił z tej rzezi, położył głowę na mych kolanach i ciężko oddycha. Trzymam dłoń na jego siwiutkich włosach i wpatruję się w twarz, która mieni się drżeniem każdego atomu, przypominając rozbudzone mrowisko. To prawda, że może na osiwieć w ułamku sekundy. Cegiełka przed godziną nie miał we włosach jednej srebrnej nitki. Ocalał — leżąc pod ciałami konających towarzyszy.

Jutro było nieco inne. Znów przyszedł oficer na brankę zakładników. Wyciągał ukrytych pod płaszczami, rozgarniał gromadki kobiet, zasłaniających mężczyzn. Jedno czyniło z tej ponurej sceny tragiczną groteskę: na środku, w dużej szklanej gablocie, mieszczącej kiedyś mundur kościuszkowskiego powstańca, siedział sztywno na stołku, wpatrzony w nie widzialny horyzont pracownik budowlany — Kazimierz Świątek. Wyglądał jak eksponat. Został. Nas wyprowadzają. Buchnął za nami płacz kobiet. Grzało dojrzałe, sierpniowe słońce. Nadszedł pluton egzekucyjny. Siatki na hełmach, panterki, automaty. Ustawieni twarzami do muru widzimy własne cienie i ziarna piasku, odbłyskujące słońcu. Komenda pierwsza, druga i — cisza jak nie wypał. Na murze zakołysały się dwa cienie i osunęły w dół. Zamiast salwy — przeszedł nam po krzyżach rechot faszystów ukraińskich. Zagnali nas później do stolarni i po pół godzinie — ponownie pod mur. Padają komendy — i znów zawisły ciszą. Tył czaszki, kark i kręgosłup, napięte oczekiwaniem, tężały z bólu. Znów gardłowy rechot — i powrót do podziemi. Trzech spośród naszej grupy wyznaczyli na „parlamentariuszy". Podprowadzeni pod kontrolą i osłoną patrolu żandarmów na przed pole barykady, mieli przejść na stronę powstańców i prosić dowództwo odcinka, rzekomo w imieniu zakładników, o zaprzestanie ognia i likwidację barykady. Termin powrotu z odpowiedzią 24 godziny. Po tym terminie trzydziestu zakładników będzie rozstrzelanych. Próbę egzekucji właśnie przeprowadzono. Nie było złudzeń. A przecież wrócili, przynosząc odpowiedź: nie. Fakt ten był fascynujący, zdumiewający, nierzeczywisty. Zarówno dla Niemców, jak i dla nas. „Powiedzieliśmy naszym: trzymajcie chłopaki barykadę, my wracamy — nie na nasze sumienia trzydziestu ludzi". O świcie znów zabawa w chowanego. Świątek na stanowisku w szklanej gablocie. Oficer odliczył kontygent. Poszli. Wrócili. Nie wszyscy. Dźwigają na noszach rannych. Pojawia się sanitariuszka Mielczarkówna. Podtrzymuje zwisające głowy rannych, dyrygując ruchem i klnie na tarasujących przejście SS-manów. Sanitariusze wynoszą na sąsiednie podwórze umarłych i konających. Szukamy się wzajemnie — kto wrócił, kto nie. Nie wrócił tym razem Lucjan Maciejewski, rzemieślnik. Padł pod barykadą na Brackiej. Nie wrócił Bednarek — ale żyje. Przebił szybę apteki i skrył się w piwnicach. Względy sanitarno - aprowizacyjne podyktowały Niemcom wyprowadzenie poza obręb Muzeum kobiet, dzieci i starców. Rozrywają zwarte w pożegnaniach ramiona i wypychają za furtkę płaczące kobiety i dzieci. Wyszła Bruzdowa z córeczką i chorym synkiem, Kapuścińscy z córkami, wdowa po Maciejewskim, Menclowie z córkami i wnuczką... Mokre od łez oczy patrzą w naszą stronę. Ojców z dziećmi na rękach nie wypuszczano. Maleństwa oddawano wychodzącym na „wolność".

Osiemnastoletni Paweł Wojnarowski, syn szczotkarza, wyszedł w przebraniu dziewczyny. To pomysł Mielczarkówny, którą Niemcy zatrzymali w sanitariacie. Reżim żołdaków zaostrzył się teraz. Wysłali nową trójkę „parlamentariuszy". Jacyż wspaniali są Polacy! Wrócili. Z taką samą odpowiedzią. Nazajutrz nie warto było już bawić się w chowanego. Dwóch tylko ukryło się w maszynowni, w szczelnie zamykanym kotle. Świątek tkwił w szklanej gablocie. Zabrano nowych przed czołgi. W gmachu Muzeum wersalsko i pedantycznie sprawdzano przy stoliku paszporty Żydów obcokrajowców, wydając im pokwitowania ze składanych w depozyt dolarów i biżuterii. Oficer Gestapo informował, że na Dworcu Zachodnim czeka pociąg specjalny, którym odjadą do kurortów w Belgii. Mieli iść zwartą grupą środkiem Alei w kierunku dworca z białą flagą na czele pochodu. Poszli. Pełni nadziei i ufności. Kiedy mijali gmach BGK, zarechotał szatańsko ckm. Od tej chwili dewizy i kosztowności stały się bezpańskie... Ale oto wracano sprzed czołgów. Płyną ranni na noszach. Siostra Mielczarkówna w przelocie pochyla się nade mną, rzuca czerwoną szminkę i mówi: rozedrzyj chusteczkę i wymaluj czerwony krzyż. Za chwilę, z opaską sanitarną na ramieniu, dźwigam na noszach konającego. Wartownik przygląda mi się podejrzliwie. Przeszedłem szczęśliwie furtkę, wiodącą na podwórze posesji Nowy Świat 12. Już ktoś przede mną przekuł przejście w murach przez podwórza aż do szpitala św. Łazarza. Skok przez Książęcą do Głuchoniemych, do Królowej Jadwigi i na Mokotowską. A tu już Wolna. Niepodległa, Walcząca. Po prostu — Polska.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

(Pisane 1—7 sierpnia w 25 rocznicę)

KONRAD FREJDLICH

Mali, biedni ludzie

Z daleka wyglądają jak gromadka turystów. Uśmiechnięci, opaleni, niosą niedbale barwne podróżnicze nesesery, a ich swobodna cudzoziemska mowa rozlega się daleko. Autokar z napisem „Orbis", pełny komfort, dwadzieścia cztery uchylne fotele i klimatyzacja, potęguje to wycieczkowe wrażenie. Ale ludzie, zbici w ciasną grupkę przed wejściem do tomaszowskiego sądu, nie odpowiadają na uśmiechy przybyszów. Milczą. Uprzejmie rozstępują się, żeby zrobić przejście dla gości i znów zwierają się w gromadkę. Ktoś powie: Więc doczekaliśmy się tych, z Darmstadt. Nie ma odpowiedzi. Nie ma też entuzjazmu. Zbyt długo czekali na ten moment. Zbyt długo? Dwadzieścia pięć lat.

„Ci z Darmstadt" to delegacja zachodnioniemieckiego wymiaru sprawiedliwości, której przewodniczy radca sądu krajowego, pan Guenter Magsaam. Nienaganne maniery i wzbudzająca zaufanie twarz. Sędzia Wingenfeldt i sędzia Doersam robią także korzystne wrażenie. Niemcy południowi z Hesji, a nie jacyś Prusacy. Prokuratorzy dostroili się do tej trójki, zwłaszcza prokurator Vogel. On i jego pomocnik prokurator Andres ubrani są sportowo w luźne, rozpięte bluzy.

Najbardziej malowniczo prezentują się obrońcy. Pani Hannelore Czermak o węgierskim typie urody może się nawet podobać. Wdzięk i temperament południowca. Jej partner, dr Pertig z Frankfurtu stanowi przeciwieństwo brunetki: masywna postura, nalana twarz i rzedniejące włosy. Na jego tle ginie zarówno mecenas Praschifka, jak i Kornelius, a przecież obaj nie są ułomkami. Może tylko dr Aschenauer może konkurować swoją posturą z mecenasem Pertigiem. Brigitte Anderson w białej sukni stanowi typ Baltdeutscha, urodziła się w Rydze. Jej niemczyzna, choć płynna, nie ma tej południowej dźwięczności jest trochę matowa.

Goście są odrobinę zmęczeni. Mają za sobą lot Lufthansą i podróż autobusem z Warszawy do Łodzi oraz z Łodzi do Tomaszowa. I tyle wrażeń, nowych wrażeń, bo w Polsce są po raz pierwszy, pierwszy raz, podkreślają. Darmstadt? To niezbyt wielkie, ale ładne, czyste miasto w dolinie Renu. Stanowi główny ośrodek przemysłowy południowej Hesji. Ale zasłynęło przede wszystkim jako centrum modernistycznej muzyki prezentowanej w pobliskim zamku Kranichstein przez awangardowych kompozytorów z całego świata. Przed paru laty miasto uzyskało dodatkowy rozgłos: miejscowa prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko trzem zbrodniarzom wojennym, byłym funkcjonariuszom tomaszowskiego Gestapo. Teraz więc, po wdrożeniu postępowania sądowego, zaszła potrzeba zbadania sprawy na miejscu.

Goście piją herbatę i przegryzają ciasteczka. Sędziowie i prokuratorzy z Darmstadt zajmują pokój obok gabinetu prezesa Borzęckiego, palestra sąsiedni. My, dziennikarze, zostaliśmy wpuszczeni do pokoju palestry. Pijemy herbatę i przegryzamy ciasteczka, próbujemy także nawiązać rozmowę. Pani Czermak zna kilka czeskich słów oraz polskie: proszę i dziękuję. Jej klientem jest Alois Johann Reichl, współwłaściciel przedsiębiorstwa w Monachium, które instaluje piorunochrony. Pytam, dlaczego broni akurat w tej sprawie? Ależ to proste, została wyznaczona, broni z urzędu. Wszystkich obrońców wyznaczono z urzędu. Czyżby oskarżeni cierpieli niedostatek? Pytam wcale nie ironicznie. Pani Czermak uśmiecha się przyjaźnie: To są mali, biedni ludzie. Chyba więc niezbyt dobrze zrozumiałem. Pani Czermak powtarza: Sie sind kleine, arme Leute. Znowu nie zrozumiałem, więc pani Czermak dodaje pojednawczo: przecież wielkich nikt nie sądzi.

Mali, biedni ludzie. Zaglądnijmy więc może do aktu oskarżenia.

Georg Boettig, funkcjonariusz policji kryminalnej w Tomaszowie i tłumacz Gestapo. Do wybuchu wojny był w Tomaszowie rzeźnikiem oraz piłkarzem „Lechii'. Wiosną 1939 roku nielegalnie przekroczył granicę Polski uciekając do Niemiec, skąd wrócił w pierwszym tygodniu okupacji. Mimo to nie zrobił błyskotliwej kariery, został tylko tłumaczem i dzierżawcą policyjnej kantyny. Rzesza nie potrafiła w pełni docenić jego zasług, które były wcale nie takie małe: akt oskarżenia zarzuca mu dokonanie 27 mordów.

Beniamin Fuchs, również volksdeutsch, syn kowala z pobliskiej wioski Komorów. Także nie zrobił kariery, może ze względu na służbę w wojsku polskim. W Schupo osiągnął ledwie stopień Oberwachtmeistra, starszego policjanta. Dobrze zasłużył się Rzeszy: akt oskarżenia zarzuca mu dokonanie 42 mordów, w tym dzieci.

Alois Johann Reichl, rodowity Niemiec. Ochotniczo wstąpił do policji, gdzie został przeszkolony jako przewodnik psów w stopniu Oberwachtmeistra. W Tomaszowie przebywał krótko, ma więc zasługi najmniejsze: akt oskarżenia zarzuca mu dokonanie 12 mordów.

Ci „mali, biedni ludzie" nie przyjechali do Tomaszowa. Fuchs i Reichl siedzą pod kluczem, więc w grę mógłby wchodzić tylko Boettig, zwolniony z aresztu, ale on ma znów szczególne powody, aby nie odwiedzać rodzinnego miasta. Zresztą od czegóż są obrońcy, którym Republika płaci 150 DM dziennej diety.

Pan Jan, woźny tomaszowskiego sądu powiatowego, uruchamia elektryczny dzwonek. Wstajemy z miejsc: obrońcy niemieccy prostują się przy swoim stole z lewej strony sali, sędziowie i prokuratorzy z prawej, i my, prasa, tuż za ich plecami, na ławie oskarżonych. Procedura została dawno ustalona: przed prezesem Borzęckim leży karta zawierająca 11 punktów przygotowanych przez niemiecką delegację, na które odpowiadać będzie mieszkaniec Tomaszowa, świadek Stanisław Talman. Ma opisać warunki bytowania w getcie, zbrodnie popełnione na Żydach, morderstwa, konfiskaty i rabunki. Tylko ostatni punkt dotyczy zbrodni popełnionych na obywatelach narodowości polskiej: Co świadek słyszał o mordowaniu Żydów i Polaków? — ale w tym wypadku pytania stawiać będzie tylko ekipa z Darmstadt. Kiedy dochodzi do tego punktu wszyscy są już zmęczeni, ostatecznie więc zbrodnie popełnione na Polakach nie zostają omówione.

Pan Jan, woźny sądowy, ma ciężki dzień. Nic nie może zakłócić wizyty niemieckich gości, a tu, pod drzwiami, tłoczą się ludzie, którzy chcą zeznawać. Ktoś tłumaczy im, że Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich przesłała do Darmstadt 24 protokóły zeznań polskich świadków, które, być może, zostaną uwzględnione przez sąd niemiecki, ale to nie zależy od nas. „A dlaczego nie przesłuchują Bąka?", pyta ktoś wgryziony w sprawę, „w Darmstadt go słuchali, a tutaj nie, to dziwne?". Fryzjer Bąk sam jest zawiedziony: czyżby jego zeznania złożone w śledztwie nie miały żadnego znaczenia. Więc po co jeździł aż do Darmstadt? Pan Hibner, przewodniczący tomaszowskiego ZBoWiD, którego Boettig osobiście bił podczas przesłuchania w Gestapo, także nie może zeznawać. Ekipa z Darmstadt przyjechała do Polski z jasnym, jedenastopunktowym planem. Wszystko zostało zaprogramowane i przewidziane: dwa dni przesłuchiwań świadka Talmana, później wizja sądowa wzdłuż granic dawnego getta. Sąd pracuje bez zbytniego pośpiechu, skrupulatnie i bez najmniejszej improwizacji. Ordnung muss sein. Świadek powinien jasno odpowiadać na zadane mu pytania, nie wychodząc poza ich treść. Więc Talman odpowiada na pytania: daty, fakty, nazwy ulic, nazwiska. Pytania są nużące, techniczne.

Getto powstało 8. XII. 1941 roku, po likwidacji dwóch małych dzielnic mieszkaniowych żydowskich za rzeką Wolbórką, na terenie trzeciej dzielnicy. Nie, granice się nie pokrywały.

Sądownicy z Darmstadt

Sędzia Magsaam ma pytanie. Chodzi mu o datę likwidacji tych dwóch małych dzielnic.

„Kategorycznie stwierdzam, że te małe dzielnice zostały zlikwidowane w roku 1941" — świadek Talman zeznaje siedząc.

Przesłuchanie ciągnie się w nieskończoność. Ekipa z Darmstadt ma zrozumienie dla świadka, kiedy ten nie może sobie przypomnieć jakiegoś szczegółu. To było tak dawno, prawie trzydzieści lat. Nawet obrońcy nie są zbyt natrętni.

„Czy świadek na pewno rozpoznał wtedy Boettiga? A jaka była wówczas pogoda? W śledztwie mówił świadek o firance, a teraz podaje, że to była zasłonka".

Talman znowu wyjaśnia. Nie, nie ma pytań. Wszyscy są zmęczeni.

Jeszcze tylko odczytanie protokołu, strona niemiecka rezygnuje z tłumaczenia, cały ten protokół zostanie przecież dokładnie przełożony w Darmstadt. Goście uważnie wsłuchują się w polskie słowa. Nie, nie wnoszą poprawek, to nic, że nie znają polskiego. Może tylko mecenas Anderson cokolwiek rozumie, chodziła niegdyś do rosyjskiej szkoły. „Ja uże poczti wsio zabyła" — mówi do mnie przy herbatce.

Martwimy się wszyscy, czy będzie pogoda. Ale w czwartek świeci słońce i już nic nie zakłóca wizji. Sądownicy niosą mapy, przewodnikami są Talman i Hibner. Sędzia Magsaam nie oszczędza się, jest wszędzie. Pyta nawet o Bąka, kiedy mijamy zakład fryzjerski. Ulica Armii Czerwonej. W dzisiejszym domu towarowym mieścił się zarząd Schupo i Kripo. Przed wojną budynek należał do Brzozy, który zginął w getcie. Nie, już nikt się nie uśmiecha, mijamy Soldatenheim a później gmach, gdzie mieściła się komendantura Wehrmachtu. Nie opodal niewielki domek, którego właścicielem był drukarz Pruski. Tu właśnie mieszkał w czasie okupacji Boettig, który wysiedlił drukarza. I zamordował, dodaje ktoś z boku. Informacje padają tak szybko, że tłumacz nie może nadążyć z przekładem.

Później Zapiecek, na Zapiecku mieściło się Gestapo w niewielkiej willi zbudowanej przez charytatywne stowarzyszenie „Kropla Mleka". Sądowników z Darmstadt interesuje układ zabudowań w okresie okupacji. „Więc gdzie była ta szopa?". Miejscowy dentysta patykiem rysuje na piasku kontury. „Czy trzymano w niej więźniów?" Dentysta nie zrozumiał pytania. „Mnie tam trzymali, trzy dni trzymali", odpowiada po jakiejś chwili.

W piwnicy willi znajdowały się cele, przy okienku stróżował uwiązany pies. Fotoreporterzy schodzą do piwnicy i fotografują widok przez kraty, sąd ogląda budynek tylko z zewnątrz. Na jednej ze ścian odnajduje tablicę pamiątkową, sędzia Magsaam prosi, aby mu przetłumaczyć napis: długa lista zamordowanych w Gestapo. Prokurator Vogel przygotowuje się do zrobienia zdjęcia, obrońcy z Darmstadt także kierują swoje kamery na tablicę. Później wszyscy kierujemy się na ulicę Browarną w pobliże browaru Knotego. I tu wmurowano pamiątkową tablicę — Niemcy rozstrzelali w tym miejscu podczas okupacji czterdziestu Polaków. Sędzia Magsaam notuje: później rozstrzeliwań dokonywano na strzelnicy, bo żona Knotego złożyła zażalenie. Strzały w pobliżu domu zakłócały jej wypoczynek.

Wizja przebiega planowo, samochodami udajemy się na tereny byłego getta. Goście niemieccy wciąż nanoszą nowe obiekty na swoje mapy. „Gdzie były bramy?". Talman prowadzi. „Czy ten płot stał już wówczas?". „Czy lewa strona ulicy także należała do getta?".

Uliczki tu wąskie, kolumna rozciąga się, sędzia Magsaam niezmordowanie na czele. Nie wszystko słyszę, a Niemcy są w znacznie lepszej sytuacji, mają w ręku mapy. „Co się znajdowało w tym budynku?", pytam mecenasa Pertiga, który zatrzymał się przy mnie. „Waescherei". A więc pralnia, ale to nie oddaje pełnego znaczenia. Była to po prostu oczyszczalnia odzieży pożydowskiej, zrabowanej wysłanym do gazu.

Wreszcie uliczka związana najmocniej z przeżyciami świadka Talmana: Bóżniczna, obecnie Bohaterów Getta Warszawskiego. Talman prowadzi pewnie pod numer 16. „Tak, to tutaj", wskazuje chodnik. Kładzie na nim swój parasol, który będzie fantomem Żyda Salema zastrzelonego przez Reichla. „Gdzie stał Reichel?" Talman cofa się nieco i nieruchomieje: jest teraz fantomem starszego policjanta Reichla. „A gdzie był ten drugi funkcjonariusz?" „Przecież mówiłem, dopiero nadchodził" — Talman odpowiada od razu, nie czekając aż tłumacz przełoży pytanie, rozumie po niemiecku.

Przy Bóżniczej 1 wszystko się powtarza: w tym domu mieszkał świadek Talman po utworzeniu getta. Teraz z okna na pierwszym piętrze wychyla się jakaś kobieta. „Właśnie tam stałem, w tym oknie, za zasłonką", tłumaczy Talman. „Więc gdzie Boettig wyprowadził wtedy Wajsmana?" pyta sędzia. Talman ujmuje sędziego za rękę i prowadzi. Brakuje mu niemieckich słów, więc zatrzymuje sędziego i obraca nim, żeby pokazać jak stał wyprowadzony Żyd Wajsman. „A ten drugi gestapowiec?" Prokurator Kozanecki jest fantomem tego drugiego gestapowca. „A Boettig?" Rolę Boettiga odegra świadek Talman. Zbliża się do sędziego niemieckiego i staje za jego plecami: tak, z tyłu strzelał z pistoletu Boettig.

Sędziowie z Darmstadt odwracają twarze: tak, teraz mają pewność, z okna mieszkania, które zajmował Talman widać ten skrawek ulicy Bóżniczej graniczący z Jerozolimską, gdzie Boettig zamordował Żyda Wajsmana.

Chwalebna jest ta sądowa dociekliwość, na którą Republika Bońska nie żałuje kosztów, finansując kosztowne wyjazdy zagraniczne. Z rozmowy z obrońcami dowiaduję się, że jesienią czeka ich wyjazd do Stanów Zjednoczonych i do Izraela, gdzie zostaną przesłuchani następni świadkowie. Tyle jeszcze trzeba przecież wyjaśnić. Mali, biedni ludzie oczekujący na wyrok w Darmstadt są cokolwiek kłopotliwi, a przecież odpowiadają tylko za część swoich czynów. Ta reszta, nie objęta oskarżeniem, to współudział w zamordowaniu 5.000 Polaków i kilku tysięcy Żydów, nie licząc tych których zagazowano w Oświęcimiu i Treblince po likwidacji tomaszowskiego getta.

Stoimy wciąż jeszcze na rogu dawnej Jerozolimskiej i Bóżniczej. Świadek Talman już nie mówi i nikt się nie odzywa. Nawet obrońcy Boettiga rezygnują z zadawania pytań.

Sądownicy z Darmstadt podczas wizji

Ład społeczny zależy od dyscypliny społecznej

O projekcie nowego prawa o wykroczeniach – mówi kierownik Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium RN m. Łodzi – mgr Marian Bieszcz

Pyt. Co spowodowało konieczność nowej kodyfikacji prawa o wykroczeniach?

Odp. O potrzebie kodyfikacji przepisów dotyczących wykroczeń — zadecydowały dwa podstawowe czynniki: pierwszy z nich to konieczność dostosowania tych przepisów do obecnych warunków społeczno-politycznych i ekonomicznych, do wymagań socjalistycznej świadomości prawnej naszego społeczeństwa oraz do dokonanej ostatnio kodyfikacji prawa karnego. Drugi — to konieczność uporządkowania i ujednolicenia zasad odpowiedzialności i postępowania w sprawach o wykroczenia.

Do tej pory istniały dwa akty prawne, na których opierały się w swej działalności kolegia orzekające. Było to rozporządzenie z roku 1932, zwane prawem o wykroczeniach oraz ustawa o orzecznictwie karno-administracyjnym z 15 grudnia 1951 roku. Wobec tego, że wymienione akty prawne nie regulowały szczegółowo wszystkich kwestii związanych z orzecznictwem, sięgano posiłkowo do prawa karnego z 1932 r. do KPK i KPA, a nawet do rozporządzenia z roku 1928 o postępowaniu karno-administracyjnym.

Projekt prawa o wykroczeniach jest więc wyrazem ogólnych tendencji do porządkowania i kodyfikacji przepisów prawnych w naszym kraju.

Pyt. Czy to nowe prawo będzie obowiązywało tylko kolegia orzekające?

Odp. Przede wszystkim będzie dotyczyło kolegiów karno-administracyjnych, które odtąd zwać się będą kolegiami do spraw wykroczeń. Ponadto będzie obowiązywało także w postępowaniu przed kolegiami orzekającymi przy CRZZ i WKZZ, przy Urzędzie Górniczym, Urzędzie Morskim i Urzędzie Miar. Dotychczas przed tymi organami obowiązywały nieco inne przepisy, aniżeli przed kolegiami karno-administracyjnymi.

Pyt. Jaka istnieje różnica między wykroczeniem a przestępstwem?

Odp. Wykroczenie jest czynem o mniejszym stopniu społecznego niebezpieczeństwa niż przestępstwo. O tym, czy jest czyn przestępstwem czy wykroczeniem decyduje wysokość kary. Przestępstwa są czynami zagrożonymi karą pozbawienia wolności powyżej trzech miesięcy lub grzywny powyżej 5.000 zł. Wykroczenia to czyny karane aresztem do trzech miesięcy, karą ograniczenia wolności do trzech miesięcy oraz karą grzywny do 5.000 zł lub naganą.

Pyt. Jakie rodzaje kar przewiduje nowy projekt?

Odp. Rozróżnia kary zasadnicze i dodatkowe. Nowym rodzajem kary zasadniczej będzie na przykład kara ograniczenia wolności. Polega ona na tym, że ukarany jest obowiązany do wykonywania pracy wskazanej przez kolegium, nie może bez zgody kolegium zmienić stałego miejsca pobytu i ma obowiązek udzielania wyjaśnień, dotyczących przebiegu odbywania kary. Najistotniejszym w karze ograniczenia wolności jest obowiązek pracy. Osobę nie pracującą, która dokona wykroczenia, będzie można skierować do uspołecznionego zakładu w celu podjęcia pracy za zmniejszonym wynagrodzeniem do 25 proc. Kwoty powstałe z tego tytułu przekazywane będą na rzecz skarbu państwa lub na cele społeczne. W stosunku do osób nie pracujących jak i pracujących można będzie orzec również skierowanie do nieodpłatnej, dozorowanej pracy na cele publiczne w wymiarze od 20 do 50 godzin w miesiącu. Może to być praca: przy budowie kanału Pilica — Łódź, praca przy porządkowaniu ulic, upiększaniu miasta, czyszczeniu tramwajów itp. Osobie zatrudnionej będzie można orzec zamiast obowiązku dozorowanej pracy — potrącenie z wynagrodzenia w wysokości od 10 do 25 proc. Oczywiście i te pieniądze przechodzą na skarb państwa lub na cele społeczne. Przewidujemy, że na terenie naszego miasta ten rodzaj kary będzie orzekany szczególnie w stosunku do chuliganów oraz osób prowadzących próżniaczy tryb życia.

Jeżeli chodzi o kary dodatkowe to projekt rozszerzył znacznie katalog tych kar. Poza tradycyjnie dotychczas stosowaną karą podania orzeczenia do publicznej wiadomości, projekt przewiduje możliwość orzekania: zakazu prowadzenia działalności (np. handlowej); zakazu wykonywania czynności związanych z wymaganym zezwoleniem; zakazu prowadzenia pojazdu i przepadek rzeczy. Do tej pory tego rodzaju kary dodatkowe mogły być tylko orzekane przez sądy.

Pyt. Jakie czyny uchodzące dotychczas bezkarnie, włączone zostały do nowego projektu?

Odp. Projekt prawa o wykroczeniach przewiduje karalność niektórych czynów, pozornie drobnych, jednak w swej masie bardzo dokuczliwych. Należą do nich:

— odpowiedzialność rodziców za czyny nieletnich,
— pozostawianie bez opieki dzieci lub osób niezdolnych ocenić grożącego im niebezpieczeństwa,
— rzucanie kamieniami w pojazd mechaniczny będący w ruchu,
— uszkadzanie urządzeń przeznaczonych do użytku publicznego (telefony, ławki w parku, tablice informacyjne itp.),
— nieostrożna jazda poza drogą publiczną (np. w lesie, na podwórku, na placu zabaw itp.).

Pyt. Jak w świetle nowego prawa będzie wyglądała walka z zakłócaniem porządku publicznego przez prostytutki? Mamy na myśli łódzkie ulice, w szczególności Piotrkowską, którą wieczorem opanowują męty społeczne spod znaku najstarszego zawodu świata.

Odp. Nowe prawo nie przewiduje karalności za samo uprawianie procederu i za samo nagabywanie klienta, lecz za takie zachowanie się, które odbiega od przyjętego zwyczajowo, wywołuje zgorszenie i uczucie odrazy i obraża dobre obyczaje.

Pyt. Czy możemy mieć nadzieję, że wreszcie nastąpi likwidacja plagi „koników"?

Odp. Sprawy „koników" od 3 lat znajdują się w gestii kolegiów karno-administracyjnych i pozostaną nadal. Kolegia dotychczas surowo karały sprawców tego rodzaju wykroczeń i będą to czynić w dalszym ciągu, wykorzystując cały wachlarz możliwości, jaki znajduje się w ich dyspozycji. Całkowita likwidacja tej plagi zależy nie tylko od kolegiów i organów ścigania, lecz od postawy obywateli.

Pyt. Które czyny z kompetencji sądów przejdą do właściwości kolegiów?

Odp. Można wymienić tu następujące czyny: zbiegowiska publiczne, żebranie, znęcanie się na zwierzętami, niszczenie znaków umieszczonych przez organ państwowy, prowadzenie pojazdów w stanie nietrzeźwym lub w stanie użycia alkoholu, szalbierstwo (wyłudzenie przejazdu, pożywienia), zabór rzeczy o wartości niematerialnej (np. przywłaszczenie fotografii, pukla włosów itp.), ukrywanie towarów przed nabywcą.

Pyt. Występki te, przechodząc z sądu do kolegiów stają się automatycznie wykroczeniami, podlegają więc niejako procesowi degradacji. Można odnieść wrażenie, że nastąpi złagodzenie sankcji, co np. w odniesieniu do ukrywania towarów przed nabywcą, czy prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości wydaje się być rzeczą dość niepokojącą?

Odp. Pragnę zaznaczyć, że jest to pozorne złagodzenie wymiaru kary. Teoretycznie tylko, możliwości sądu są faktycznie większe przy ferowaniu wyroków za wymienione czyny. Praktycznie jednak kolegia dysponują z kolei większym wachlarzem kar za drobne przestępstwa. Kolegia są operatywniejsze, mają możliwość szybszego orzekania i egzekwowania kary, co nie jest rzeczą wcale bagatelną, a wymierzanie kar w dolnych granicach jest dostatecznie dotkliwe dla sprawcy. Kolegia mają uprawnienia do zaostrzania wymiaru kary w stosunku do recydywistów, chuliganów i alkoholików. Projekt ten wyklucza możliwość w stosunku do nich zawieszenia wykonania kary aresztu, a nawet zezwala wymierzyć karę aresztu do 3 miesięcy, choćby sankcja karna przewidziana w przepisie była łagodniejsza. Poza tym, gdy czynem sprawcy wyrządzona została szkoda materialna, daje możliwość orzeczenia nawiązki w wysokości do 2.000 zł.

Pyt. Na zakończenie jeszcze jedno krótkie pytanie. Jak przygotowani jesteśmy do wprowadzenia w życie projektu prawa o wykroczeniach, który niebawem zostanie uchwalony?

Odp. Projekt prawa o wykroczeniach stawia zwiększone zadania nie tylko wobec organów ścigania i kolegiów d/s wykroczeń, lecz także zakładów pracy i organizacji społecznych. Podstawowym zadaniem postępowania w sprawach o wykroczenia jest wychowanie i wdrażanie sprawców do poszanowania prawa i zasad współżycia społecznego. W tym celu będzie można szerzej korzystać z pozakarnych środków oddziaływania przekazując sprawy do załatwienia społecznym komisjom pojednawczym, zakładom pracy, bądź organizacjom społecznym.

Projekt prawa o wykroczeniach wyraźnie stanowi, że zwalczanie i zapobieganie wykroczeniom jest ustawowym obowiązkiem instytucji państwowych i społecznych i że nawet złożenie wniosku o ukaranie od tego obowiązku ich nie zwalnia.

Właściwe wypełnienie tych obowiązków zależeć będzie od stopnia zaangażowania się kolektywów pracowniczych i organizacji społecznych w usuwanie uchybień, które przyczyniają się do popełniania wykroczeń lub sprzyjają ich popełnieniu.

Prowadzona obecnie kampania popularyzacyjna w środowiskach, zakładach pracy i w miejscu zamieszkania jak również szkolenie członków kolegiów k-a przyczyni się niewątpliwie do przygotowania organów i instytucji do realizacji nowego prawa o wykroczeniach.

Kolegia k-a posiadające już prawie dwudziestoletnie doświadczenie, na pewno spełnią należycie te nowe zadania wynikające z omawianych projektów prawa o wykroczeniach.

Lipcowe Waterloo niedoszłych studentów

Dalszy ciąg ze str. 1

Tym bardziej, że także już od lat, obserwuje się nieustający pęd na modne kierunki, czego prawo najlepszym przykładem. Nie odstrasza kandydatów fakt, że przyjęta może być najwyżej co piąta osoba. Mimo, że lojalnie zostali o tym uprzedzeni. Więcej nawet. Władze resortu szkolnictwa wyższego wydały w tym roku po raz pierwszy zarządzenie zezwalające kandydatom na przenoszenie zgłoszeń nie tylko na inne kierunki, ale nawet na inne uczelnie, aż do ostatnich dni czerwca. Niestety na Uniwersytecie Łódzkim z tej szansy nie skorzystano. Nie odstraszył kandydatów na prawników także fakt następny, że w Polsce z około 22.000 prawników, około 16.000 pracuje w administracji, bo wymiar sprawiedliwości i sądownictwo nie mogą zatrudnić nawet jednej trzeciej absolwentów.

Jeszcze przed rozpoczęciem egzaminów spodziewano się, że większa dojrzałość, choćby z racji wieku i stażu pracy, tegorocznych kandydatów spowoduje rozsądniejszy wybór kierunku, wykorzystanie szansy, jaką dawała niewielka ilość maturzystów z wiadomościami „jeszcze gorącymi", wreszcie wpłynie na mniej nerwową atmosferę w czasie zdawania. Z tego wszystkiego sprawdziła się jedynie... atmosfera.

Trudno zaś powiedzieć, czego spodziewali się i na co liczyli sami kandydaci na uniwersyteckie studia. Na to, że będzie ich w tym roku mniej? Nie było. Że ze względu na ich odległą maturę poziom egzaminów będzie obniżony? Nie mógł być, bo i niby dlaczego. Ale i tak czego by się tam nie spodziewali, nic nie jest w stanie usprawiedliwić ich często żenującego braku wiadomości i równie żenującego braku ambicji i krytycyzmu. No bo jak usprawiedliwić bardzo rzadką znajomość literatury tzw. „nadobowiązkowej" u kandydatów, zdających na filologię polską, od których można by wymagać jakiego takiego zainteresowania wybranym kierunkiem, a więc i oczytania? Jak usprawiedliwić tych, których zawodziła pamięć, bo utwory czytali rok lub dwa lata temu, lub w ogóle „kiedyś"? I skoro już pozostajemy przy polonistyce, można pytać dalej. Jak wytłumaczyć fakt, że za bardzo dobrą ocenę z prac pisemnych, a także ustnych, komisje musiały uważać dostateczny z plusem, bo ocena dobra była ewenementem? Czego szukała na polonistyce dziewczyna, która mając podany temat „Afirmacja życia w utworach M. Dąbrowskiej", uporczywie usiłowała w wyjątkowo prymitywny sposób streszczać utwory tejże autorki? Czego szukała następna, która pracę na temat „Zasługi literatury pozytywistycznej w kształtowaniu postaw społecznych", po napisaniu wielu zdań w rodzaju: „Jan dał jej sierp, którym początkowo nie umiała poruszać, lecz potem robiła to zupełnie dobrze", zakończyła odkrywczym wnioskiem — cytuję. „Literatura pozytywistyczna położyła bardzo duże zasługi w kształtowaniu postaw społecznych".

Podobnych pytań można by stawiać jeszcze wiele, bo każda komisja egzaminacyjna z poszczególnych kierunków bez trudu może dostarczyć wielu przykładów. Przy czym we wszystkich wypadkach powtarza się to samo zjawisko: powszechna nieznajomość najnowszej historii swojego kraju i w ogóle historii (tam, gdzie można było wybierać między geografią i historią wybierano zwykle geografię) oraz bardzo słabe wyniki egzaminów z języków.

Znamy już oczywiście to zjawisko, bo nienowe, bo każdego roku powtarza się przy ocenie poziomu egzaminów wstępnych, którą to ocenę na dobrą sprawę można by bez zmian przepisywać. Z uzupełnieniem, że w roku bieżącym było gorzej niż w roku 1969, a w 1969 gorzej niż w 1968. Co roku wszyscy biją za ten fakt w szkołę średnią, która odpowiada za ilość i jakość wiadomości jej absolwentów. Proponuję, żeby tym razem powstrzymać się od tego bicia, z kilku przynajmniej powodów. Bo, po pierwsze, pamiętajmy, że wielu tegorocznych kandydatów zdawało już, przynajmniej raz, na uczelnię. Znali więc własne braki w wiadomościach, mogli je samodzielnie zlikwidować, zakładając, że mieli jaką taką ambicję, aby zdać. Po drugie, jesteśmy w okresie, który można by nazwać przełomowym, bo maturzyści w roku przyszłym będą niejako pierwszą partią doświadczalną, na której sprawdzi się efekty zreformowanej szkoły średniej. Może więc będzie lepiej z językami, może w nowym programie więcej czasu poświęca się najnowszej historii, może będą lepiej zdawać. Zobaczymy.

Żeby jednak na tym czekaniu nie poprzestawać, zastanówmy się przynajmniej nad dwoma sprawami. Pierwsza, to wspomniany już wyżej deficyt na uniwersyteckich kierunkach matematyki, fizyki, chemii. Podkreśla się przy tej okazji rzekomy paradoks, że podobne kierunki na politechnice mają większe powodzenie. Paradoksu żadnego nie ma, bo porównując czysto merkantylną stronę zagadnienia, pensja nauczyciela — a taki zawód czeka przede wszystkim absolwentów uniwersyteckich, przegrywa z pensją inżyniera dość wysoko. Stwierdzamy niski poziom matematyki, fizyki i chemii w szkołach średnich. Tylko nie zapominajmy, że na te kierunki przyjmuje się wszystkich, którzy zdali egzamin, choćby najsłabiej. Nie ma tutaj żadnego wyboru wśród kandydatów i — nie uchybiając nikomu — ci sami ludzie idą potem uczyć do szkół. I koło się zamyka.

Druga sprawa, która także prosi się o rozwiązanie, to przyjęcie wreszcie jakichś rozsądnych metod selekcji kandydatów na przyszłych magistrów. O ile mi wiadomo, w szkołach średnich jeszcze przed właściwymi egzaminami przeprowadzane są rozmowy z kandydatami, pozwalające zorientować się w rozmiarach inteligencji delikwenta. Może by takie rozmowy wprowadzić na uniwersytecie? Tam inteligencja też jest chyba potrzebna?

MONIKA BOGUCKA

POLONICA

POLSKA KUCHNIA

Salomea Landmann, urodzona w Żółkwi, a przebywająca od lat w Szwajcarii, wydała obecnie kolejną swoją książkę pt. „Die echte polnische Kuche" (Prawdziwa kuchnia polska). Książka, bogato ilustrowana przez Riccardę Gregor—Grieshaber, zawiera historyczny zarys rozwoju kuchni polskiej, następnie szczegółowy opis przyrządzania potraw od barszczu poczynając a na napitkach kończąc. Mamy tu więc przepisy na krupnik, kapuśniak, żurek, chłodnik litewski, kotlet pożarski (wszystko pisane w transkrypcji polskiej) i na wiele wiele innych polskich potraw. I chociaż Salomea Landmann myli się tu i ówdzie i popełnia tzw. drobne nieścisłości, zaliczając, na przykład do polskich potrawę, która nigdy polską nie była, trzeba powiedzieć, że dzieło jej, wysoko podnoszące walory naszej kuchni, napisane zostało ze znawstwem i ciepłą nutką sympatii dla Polski.

jk.

POLONICA

TERESA SOCHA-LISOWSKA

NIEPOROZUMIENIE

Wbiegł po schodach radośnie, razem z Marysią.

— Ciociu — zawołał do mnie przy powitaniu.

— Cieszę się z twego przyjazdu — powiedziałam. — Odpoczniesz.

— Tak, odpocznę. Ciocia wie, że nie chodzę do szkoły. Wszystko mama popsuła. Mama mnie oddała na klinikę. A ja chciałem mieć tylko własny kąt i trochę spokoju.

— Rozbierz się, siadaj.

Ale on nie zdejmując płaszcza, przysiadł w kuchni i ciągnął:

— Ciocia wie, jak u nas jest. Ciągle grają na gitarach. Przychodzą dziewczęta. Ja mam pełno śrubek, części precyzyjnych.

— Wiem, jesteś bardzo zdolny. Podobno sam zrobiłeś adapter.

— Ciociu, ale oni mi zabrali. Zepsuli go. Naprawiłem i znów mi zabrali.

— Twoi bracia mają inne zainteresowania. Może utworzą zespół. A ty, szkoda, że przerwałeś naukę.

— Ciociu, po co mama wszędzie opowiada w szkole, że ja byłem na klinice, że jestem nerwowy.

— Może chce, żeby ci łatwiej było. Ale rozbierz się!

Marysia zaparzyła kawę. Paweł zamiast rozebrać się, wyciągnął z kieszeni paczkę sportów i zapalił.

— Nie wierzę, że jesteś chory. Byłeś wyczerpany nauką i powstało nieporozumienie.

— Ciociu, ja chodziłem za mamą i prosiłem, żeby mi dała osobny kąt. Mnie ciągle bolała głowa. W nocy nie mogłem spać. Myślałem, że ona to zrozumie.

— Nie powinieneś matki dręczyć. Ona ma ciężkie życie. Ciężko pracuje. Kiedyś całą noc nie dałeś jej spać.

— Ciociu, myślałem, że ona zrozumie. Ona sama zaczyna ze mną rozmowę, we wszystko się miesza.

— Chce cię uspokoić.

— Sprawdza mi kieszenie. Czyta moje listy. Pyta, gdzie byłem. Czemu ona do nich tego nie robi?

— Bo jesteś jej oczkiem w głowie.

— Ciociu, ja jej mówiłem, czego mi trzeba. Chcę się wyprowadzić.

— Dobrze, dobrze, ale naprzód musisz skończyć szkołę.

— Nie, ciociu, ja nie skończę tej szkoły. Ona mi wszystko popsuła.

— Słuchaj, ty nie jesteś chory. A jeżeli możesz ułatwić sobie życie takim czy innym zaświadczeniem, cóż ci to szkodzi.

— Ciociu, ja kiedyś wiedziałem, że nie jestem chory, ale teraz już tak nie jest.

— Słuchaj no, rozbierz się.

— Ciociu, ona to wszystkim opowiada, Ciocia wie, jaki Jurek jest dla mnie dobry? Mruga do swojej dziewczyny, żeby była delikatna dla mnie, bo jestem nie w porządku.

— Może zazdrosny?

— Nie, ciociu.

— Pamiętam, kiedyś zatańczyłeś z jego dziewczyną i Jurek cię uderzył.

— Tak, ciociu. Za co mnie uderzył?

— Zazdrosny jest. Powinieneś być z tego dumny, że się z tobą liczy, nawet się ciebie boi, żebyś mu nie poderwał dziewczyny.

— Nie, ciociu, to co innego.

Papieros zgasł do połowy wypalony, trzymał go w ręce. Kawa wystygła. Marysia przeszła do drugiego pokoju i zajęła się czymś.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— Ja też się cieszę, z ciocią można sobie porozmawiać.

— Rozbierz się, Pawełku!

Zapalił nie dokończonego papierosa.

— Ciociu, ja bym chciał mieć spokój.

— Tak zupełnie w życiu nie możemy mieć spokoju.

— No pewnie, że nie, ciociu.

— Twoja mama też chciałaby mieć spokój. A ty siedzisz całymi godzinami w łazience. Matka wstaje w nocy, zagląda, czy ci się coś złego nie stało.

— Powiedziałem mamie, że sobie odbiorę życie.

— No właśnie.

— Ciocia mi nie wierzy?

— Nie wiem. Nie masz do tego prawa.

— Ciociu, to wszystko przez nią.

— Możliwe, przypominasz rośliny, zbyt wybujałe, niezwykłe, twoja matka jest dość prostoduszna. Wszystkie dzieci rozwinięte nad wiek, przerastające swych rodziców, cierpią.

— Tak, ciociu, ja wiem, że trzeba cierpieć. Ja pójdę się położyć.

— A może wypijesz kawę, już posłodziłeś.

Wypił łyk.

— Nigdy nie było w naszym domu zgody, jeszcze kiedy razem z twoją matką mieszkałyśmy przy rodzicach. Myślę, że skutkiem tego wiele spraw splątało się.

— Ciociu, ja pójdę się położyć.

— Dobrze.

Wyszłam. Zrobiłam zakupy. Upłynęła godzina. Słysząc, że krzątam się w kuchni, stanął w drzwiach. Zauważyłam, że płakał.

— Ciociu, nie będę jednak cioci przeszkadzał.

— Ależ daj spokój. Jeżeli dobrze się u mnie czujesz. Kiedyś mnie zaprosisz.

— Tak, ciociu — uśmiechnął się, jakbym rozmawiała z nim jak z dzieckiem.

— Zaprosisz mnie kiedyś.

— Ale ja nie będę mógł.

— Oczywiście nie teraz. Kiedyś w przyszłości.

— Ee, ciociu.

Krzątałam się, a on w przedpokoju oglądał swoją twarz w lustrze.

— Ciociu, pojadę, ciocia nie ma dla mnie czasu.

— Jutro będzie niedziela, porozmawiamy obszerniej. Zostań.

— Nie, nie, ciociu, nie zostanę.

— Zrobiłam już zakupy.

— Ciocia tak mówi, żeby mnie zatrzymać.

— Siadaj.

— Jeszcze nie wiem, co ze mną będzie. To wszystko przez mamę. Jakby nie mama, mogłem być całkiem inny.

— Opowiadasz bzdury. Ty siebie kształtujesz, a nie mama, ty możesz tego albo innego chcieć.

— Niech ciocia powie to mamie, ciocia usłyszy, co mama powie.

— Powiem mamie, żeby ci dała więcej swobody.

— Nie ciociu, teraz już za późno.

— Weź się chłopie w garść, bo naprawdę może być za późno. A w każdym razie nie dręcz matki. Bo przedręczysz i kto ci będzie dawał jeść?

— Tak, tak, ciociu, ja wiem ile ona dla mnie robi, ja to rozumiem.

— Gdybyś rozumiał, jakie ma szlachetne serce, postępowałbyś inaczej. Opowiem ci rodzinną tajemnicę. Z tą tajemnicą jest tak, że nie ma się czym chwalić, więc zachowaj dla siebie. Wiedziały trzy osoby, ja, ona i babcia. Teraz po śmierci babci, ty będziesz wiedział. Twoja matka jest zdolna do wielkiego bohaterstwa. W czasie wojny, kiedy zbliżał się front i nie było żadnej ustalonej władzy, napadały bandy. Ojciec schował się u sąsiadów w piwnicy. My kobiety, po kilku dniach ukrywania wróciłyśmy na noc do domu, by nie dopuścić do zmarnowania się gospodarstwa. W nocy wpadli pijani żołnierze. Splądrowali dom i piwnicę. Potem kazali mi iść z sobą. Byłam młoda, śliczna. Nie rozumiałam o co chodzi. Plądrując mieszkanie, krzyczeli, że ukryliśmy wroga. Myślałam, że będą mnie przesłuchiwać. Babcia z płaczem padła im do nóg. A twoja matka, starsza ode mnie o dziesięć lat, powiedziała:

— Zostawcie w spokoju moją siostrę! Ja z wami pójdę!

— Ciociu, to mi już wystarczy!

Płakał.

Przeraziłam się. Nie spodziewałam się takiej reakcji.

— Wiem, co to znaczy. Miałem koleżankę. Zwierzyła mi się, że zaufała koledze i on ją wykorzystał. Ciociu, to już nie jest człowiek.

— No, nie przesadzaj!

— Nie, ciociu, ona nie jest człowiekiem. Teraz już wszystko rozumiem, ona nie jest człowiekiem.

JAN SZTAUDYNGER

GDY PASIKONIK

Gdy pasikonik nie może skakać,
To problem nie tylko skoków, nie tylko chodu,
Ale to problem muzyki. —
Ja na szczęście nie w nogach mam
poetycką siłę,
I choć wysiadły nogi,
Mogę śpiewać,
Mam pióro wieczne. Moje Usta...

Zbliża się finał.
Putti do ust podniosły swawolne trąbki.
Otrąbują. Otrąbiono.
Capstrzyk anielski.
Święty Piotr już szybko zatrzaskuje bramę,
Bo wie, że jestem szybki jak pioruny,
I mógłbym się wśliznąć między świętych,
Choć nie mam do tego najmniejszego prawa.
A z nieba wyrzucać, kto raz tam wszedł,
Już nie uchodzi.

Na gwałt zacząłem się uczyć po włosku.
Język włoski — to język aniołów —
Wierzę.
Ale ktoś mnie wyśmiał. Szykujesz się do nieba,
Sprośny satyrze?
Ucz się po niemiecku,
Bo diabły na pewno mówią tym językiem!!

Taka wieczność nas czeka,
Wieczność wiecznego pióra.
Jak pióro się wypisze — klapa!
O zarozumiała nazwo,
Wieczne...
Miałbym ochotę je napisać — **wietrzne**,
Bo wiatru się radzę, kiedy piszę,
Albo wiatr mi przeszkadza,
Mój zakopiański domownik: Wiatr halny!...

18 marca 1970 r.

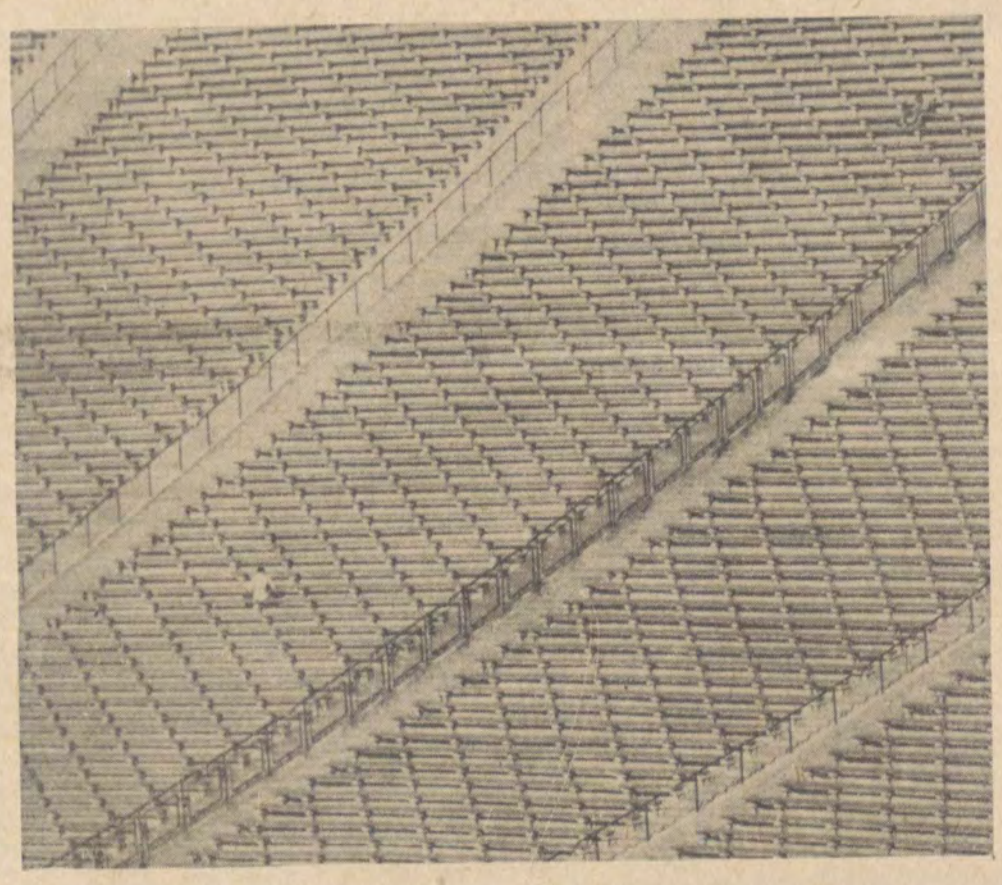

Fot. St. Chybowski

ALEKSANDRA OCHALSKA

SMUTNY CZŁOWIEK

Smutny człowiek patrzy smutnymi oczyma
Smutny człowiek przekłada martwe papiery
Smutny człowiek pije bladą herbatę
Smutny człowiek cieszy się pracą
Smutny człowiek ma trzy wesołe córki
Żona smutnego człowieka płacze, kiedy nikt nie widzi.

BOGUMIŁ LEJKOWSKI

Nie tylko pochwała kronikarstwa

Trudno jest ustrzec się przed prostotą i sugestywnością stereotypu: dawniej dzielnica nędzy i robotniczego buntu, a dziś — nowych osiedli, fabryk i szkół. Zapewne jest w tym synteza przemian, skrót dwudziestopięcioletniego wysiłku, ale brak ludzi, ich skomplikowanych losów, ich pracy i walki. Stereotyp jest wynikiem konfrontacji rezultatów ich działalności natomiast nic nie mówi o nich samych. Jak więc pisać o Bałutach, aby pokazać źródła i siłę dokonanych przemian?

Tadeusz Czapliński i Karol Badziak znaleźli na to pytanie dobrą odpowiedź. Podjęli się trudu opracowania wspomnień z okresu okupacji hitlerowskiej. Książce dali tytuł: „Synowie Bałut". Nie ma w niej wprawdzie ani obrazu Zabieńca. Dołów czy opisu smukłych konturów nowoczesnej hali „Elty", ale są autentyczne dokumenty życia w trudnych latach okupacji, kiedy czas liczył się niekiedy więcej niż podwójnie.

Dwudziestu dwóch bałuckich komunistów wspomina swoje i innych dzieje. Są więc opisy pierwszych konspiracyjnych zebrań, kontaktów, akcji sabotażowych, są wspomnienia żmudnych dni konspiracyjnej działalności, strachu przed zdemaskowaniem i są wspomnienia o długich, więziennych dniach i nocach. Nie były to ani łatwe, ani proste dni. Pamiętajmy, że komunistom przyszło działać już po rozwiązaniu Komunistycznej Partii Polski i przeżytej tragedii wrześniowej klęski, że wielu z nich było osamotnionych, szukających gwałtownie kontaktu z towarzyszami walki. Rosła chęć i potrzeba działania, ale doświadczenie konspiratora mówiło — bądź ostrożny, jeden nierozważny krok i możesz przestać się liczyć, zginiesz. A przecież odnajdywali się.

Wiele już napisano o czasach okupacji, a przecież „Synowie Bałut" dowodzą, że w pamięci ludzkiej leżą ogromne pokłady niezwykle cennego materiału. Tylko sięgać trzeba śmielej i głębiej, póki czas nie pozaciera konturów, nie rozmaże chronologii, nie poplącze i pogmatwa zdarzeń. Praca to nie łatwa. Tadeusz Czapliński i Karol Badziak musieli nie tylko przewertować stos materiału, poukładać i uporządkować wydarzenia, ale dokonać konfrontacji, uściślić to wszystko, co zwodna pamięć ludzka gotowa była albo umniejszyć, albo powiększyć, albo też umiejscowić w innym czasie niż to było faktycznie.

Kim są bohaterowie tej interesującej i pożytecznej książki? Indeks nazwisk zawiera przeszło 530 pozycji. Nie jest to jednak rejestr bohaterów. Bohaterami są bowiem komuniści, ludzie dobrej woli, którzy wspólnie, bez hałasu, fanfar i glorii podjęli trudną i niebezpieczną, na śmierć i życie, walkę z faszyzmem. Podjęli ją w mieście, które przestało nazywać się Łodzią i stało się częścią „Tysiącletniej Rzeszy".

Weźmy pierwszych z brzegu. Jan Błaszczyk — członek KPP, później PPR, uczestnik walk patyzanckich w Jugosławii. Józef Rzetelski — członek KD PPR — Bałuty, dowódca Sztabu GL na Bałutach, później więzień obozu w Ljubelj, a następnie dowódca Polskiej Partyzanckiej Kompanii w Jugosławii. Stefania Mroczkowska — używała pseudonimu „Wielka", była członkiem PPS — Lewicy i KPP, a w czasie okupacji bałuckiej organizacji PPR. Tadeusz Porczyński — członek grupy sabotażowej, współdziałał z bałucką organizacją PPR. I tak można byłoby długo wymieniać nazwiska i pisać o okupacyjnym działaniu synów Bałut. Dwadzieścia dwa wspomnienia, to tyleż samo ciekawych życiorysów, to setki „przygód", które dziś wspomina się bez dreszczu trwogi, jaki wówczas im towarzyszył. To zarysowie wielu interesujących opowiadań i nowel, jeśli sięgnąłby kiedyś po nie pisarz.

Bo choć jest to książka o ludziach Bałut, to przecież wojenne losy nosiły ich niemal po całym świecie, a gdzie tylko zatrzymali się, zaraz szukali okazji do dalszej walki z okupantem i faszyzmem. Walkę tę podejmowali nawet w więziennej celi, za naelektryzowanymi drutami obozów. Stąd na kartach książki mamy również portrety tych, przeciw którym walczyli: komendanta obozu w Ljubej — Britzkego, raportfuehrera tego obozu — Bindera, konfidenta Gestapo — Romana Nau czy kapo z Mauthausen — Uneka.

Są w tej książce i inni Niemcy, ci którzy wspólnie z Polakami podjęli walkę przeciw faszyzmowi. Ot, choćby volksdeutsch Schonhals, zawiadowca stacji Karolew, który razem z Polakami brał udział w akcji sabotażowej. Takich jak on było więcej.

Wspomnienia bałuckich komunistów, partyzantów i uczestników podziemnej walki z hitlerowcami są dokumentem pełnym autentyzmu tamtych czasów. Tadeusz Czapliński i Karol Badziak zebrali, przeczytali i opracowali bogaty materiał, nadając mu formę lapidarnego skrótu, zarysowując niekiedy sytuacje i markując wydarzenia. Nadało mu to walor klarowności i lepszej czytelności, nie pozbawiając jednocześnie tego co najcenniejsze — olbrzymiej dozy prostego autentyzmu.

Wydawnictwo Łódzkie specjalizuje się w publikacjach materiałów z dziejów ruchu robotniczego i wyzwoleńczego, a historia łódzkiego proletariatu daje po temu doskonałą okazję. Przykładem tego może być m. in. książka Tadeusza Czaplińskiego i Karola Badziaka. Nie jedynym zresztą.

„SYNOWIE BAŁUT". Wspomnienia z okresu okupacji hitlerowskiej. Opracowali: Tadeusz Czapliński i Karol Badziak. Wydawnictwo Łódzkie. 1970 rok, str. 222, cena 8 zł.

Fot. A. Wach

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Na tropach wojennych wędrówek

Ostatnia, wydana już pośmiertnie książka Stanisława Czernika — „Peregrynacje" *) jest wyborem wspomnień, notatek i relacji, związanych tematycznie z drugą wojną światową, a drukowanych uprzednio w innych publikacjach tegoż autora. „Peregrynacje" składają się z trzech „cyklów" zasadniczych: 1. doświadczenia i przeżycia z dni wrześniowej klęski, 2. kilkumiesięczny pobyt w Rumunii i 3. wspomnienia z pobytu w Algierii. Nieco marginesowym uzupełnieniem tych trzech działów jest baśń o Gryzikamieniu, której poświęcimy jeszcze kilka słów przy końcu tej recenzji.

W pierwszej części „Peregrynacji" Czernik, który przydzielony był z rezerwy w randze... szeregowca do kancelarii pułku saperów w Przemyślu, odtwarza sugestywnie dzieje własne i tegoż pułku podczas odwrotu na południo-wschód ku granicy rumuńskiej na Czeremoszu. Nie ma tu jakichś opisowych rewelacji, ale jest wierne odtworzenie tragicznej atmosfery tamtych dni, jakże dalekiej od dumnego hasła ówczesnych władców Polski: „Silni, zwarci, gotowi". Niemal symbolicznym wydaje mi się fakt powierzenia kasety z pułkowymi pieniędzmi kilkuosobowej eskorcie, do której należał również autor wspomnień. Powierzono z surowym nakazem, że trzeba jej strzec jak oka w głowie. Rychło się jednak okazało, iż w tej kasecie nie ma (i nie było) ani złamanego grosza. Ale już nie symboliczną, lecz nagą i jedno znaczną wymowę ma potajemny i pośpieszny odjazd, by nie powiedzieć: ucieczka dowództwa pułku na granicy, z pozostawieniem jego ludzkich i materiałowych efektywów raczej na łasce losu. Ten epizod nie był, niestety, wyjątkiem.

Zaś później były obozy internowanych w Rumunii, najdłuższy w jakiejś zapadłej dobrudżańskiej Slatinie. W tych obozach dręczyły internowanych żołnierzy polskich zwykłe w takiej sytuacji plagi: rozpacz, dezorientacja, beznadzieja i pospolita ludzka nuda. Stan psychiczny i moralny „pensjonariuszy" obozu w owej Slatinie zobrazował Czernik wymownie w opisie ich pierwszej wieczerzy wigilijnej na obczyźnie w 1939 roku.

Udręka internowania dla autora wspomnień trwała szczęśliwie tylko kilka miesięcy, Stanisław Czernik, znany i ceniony przed wojną poeta, prozaik i pedagog-polonista, mógł był wyruszyć w początkach 1940 roku na Zachód, do Algierii, jako kierownik i opiekun grupy młodzieży polskiej, której później przewodził pełniąc funkcję dyrektora gimnazjum i liceum polskiego w tym egzotycznym kraju. Z tego to okresu (1940—1945) pochodzi część „Peregrynacji": „Z notatnika afrykańskiego". Znajdujemy tu wiele ciekawych informacji o Algierii, o krajobrazie, przyrodzie, osobliwościach, mieszkańcach i folklorze kraju, który przed wojną był jednym z głównych terenów kolonializmu francuskiego, a obecnie — po wywalczeniu sobie niepodległości odgrywa poważną rolę w polityce międzynarodowej, zwłaszcza w jej dziedzinach związanych z problematyką świata arabskiego. Wrażenia algierskie Czernika, przefiltrowane przez jego żywy, chłonny i spostrzegawczy intelekt — intelekt człowieka, „który umie patrzeć, myśleć i wnioskować", znaczy, doprawdy, o wiele więcej niż przeciętna literatura podróżnicza. Ba! W „Notatniku afrykańskim" podaje autor m. in. wiadomości o panowaniu Rzymian w Algierii, o pozostałych po nich wykopaliskach i pamiątkach.

I wreszcie wspomniana na wstępie „baśń" o kuźniku (kowalu) Gryzikamieniu, napisana pod wpływem fantastycznej urody kompleksu grot w italskiej miejscowości Castellana. O tym wielce oryginalnym w treści i formie utworze autor pisze tak: „Nie waham się dołączyć go do wspomnień wojennych, widząc w osobliwych skojarzeniach tematu, idei, refleksji filozoficznej i folkloru rzecz nową (...) dziejów, niezgłębione otchłanie przeszłości oraz niewiadome światła i mroki tego co nadchodzi". Słuszność tej samo oceny zweryfikuje uważny czytelnik „Peregrynacji". Podkreślam słowo „uważny", ponieważ ta książka zasługuje w pełni właśnie na uważną lekturę.

*) „Wydawnictwo Łódzkie", str. 284, cena 20 zł.

Przeszłość i teraźniejszość

Zatrucie STAŁE

„Zatruciem stałym" nazwał Aldous Huxley ów stan, do jakiego hitleryzm przywiódł ogromną większość społeczeństwa niemieckiego, stan, w którym „upita tłumem jednostka ludzka ucieka od odpowiedzialności, inteligencji i obyczajności w jakiś rodzaj frenetycznej zwierzęcej bezmyślności". Można by było mówić o nim spokojnie jako o unikalnym zjawisku z dziedziny psychopatologii społecznej, gdyby nie to, że było ono zbyt olbrzymie i zbyt zbrodnicze, aby dało się rozpatrywać jedynie jako osobliwość socjologiczna. Upiorny system hitlerowski zmierzał konsekwentnie i świadomie do deprawacji własnego społeczeństwa, do jego moralnego ubezwłasnowolnienia i osiągał zamierzone rezultaty, tak, że stopniowo jęła się zacierać różnica między tymi, którzy byli wciąż „porządnymi ludźmi" a świadomie rozsiewającymi zło. Tak jak wojna stała się wojną totalną, w której nie było już tradycyjnego rozdziału między tymi, którzy walczą a tymi, którzy znają ją jedynie z komunikatów prasowych, tak samo zbrodnia została stotalitaryzowana — jęła zanikać granica między tymi, którzy służyli jej bezpośrednio, a tymi, którzy przyczyniali się do niej w inny sposób, stwarzając dla niej dogodną atmosferę, udzielając z góry rozgrzeszenia w imię rzekomych wyższych racji...

„Kiedy słyszę słowo kultura, odbezpieczam rewolwer". Nie powiedział tego ani Hitler, ani Goebbels. Wynalazcą tej formuły, doskonale streszczającej stosunek hitleryzmu do kultury był czołowy nazistowski dramaturg Hanns Jost. Znalazła się ona w jego sztuce „Schlageter", wystawionej po raz pierwszy w dzień urodzin fuehrera 20 kwietnia 1933 roku. Człowiekiem, który wypowiedział to zdanie ze sceny był niejaki Veit Harlan, aktor i filmowiec, który — jak to stwierdza historyk — „należał do najściślejszej czołówki reżyserów filmowych w Trzeciej Rzeszy". On to właśnie będzie niebawem (1940) twórcą osławionego rasistowskiego filmu „Żyd Suss". Szczęśliwie przetrzymał upadek Tysiącletniej Rzeszy, aby jeszcze przez niemal dwadzieścia lat działać na niwie filmowej w NRF...

Ambitny historyk nie może ograniczyć się jedynie do zebrania i uszeregowania faktów. Bogusław Drewniak w swej książce **„Kultura w cieniu swastyki"** (Wydawnictwo Poznańskie, 1969) pokusił się więc o coś więcej, niż suche zarejestrowanie danych o polityce kulturalnej hitleryzmu. Rozważając jej ogólne podstawy, omawiając hitlerowską kinematografię, twórczość operową i w ogóle muzyczną, plastykę, dramat czy radiofonię starał się znaleźć odpowiedź na pytanie, jaka jest odpowiedzialność ludzi nauki i sztuki, tych, którzy wyszli naprzeciw nazizmowi i wypowiedzieli swoje „Jawohl", odpowiedzialność za udział w totalnej deprawacji społeczeństwa. Na kartach książki jawią się nazwiska dziś już nic nikomu nie mówiące, ale także znane, ba — nawet wielkie, częstokroć nie po tej stronie, po której życzylibyśmy je sobie odnaleźć. Smuci i zastanawia oportunizm aktorów tej miary co Heinrich George czy Emil Jannings, hitlerowska przeszłość śpiewaczki Elisabeth Schwarzkopf, polityczne deklaracje dyrygenta Eugena Jochuma, oportunizm najwybitniejszego pisarza mieszkającego w tych latach w Niemczech Gerharda Hauptmanna czy najwybitniejszego niemieckiego kompozytora Richarda Straussa. Smuci i zastanawia żywa kolaboracja z reżimem hitlerowskim legendarnego dziś dyrygenta Wilhelma Furtwaenglera.

„Ludzie nauki i artyści godni tego imienia — pisze historyk — nie mogą nie przewidywać konsekwencji politycznych, duchowych i etycznych swoich poczynań twórczych. W nowoczesnym społeczeństwie każdy człowiek, chce czy nie chce, musi mieć określony stosunek do wydarzeń politycznych. Nawet wtedy, kiedy głośno mówi, że nie interesuje go polityka. Każdy też człowiek, z racji swego stosunku do polityki, obarczony jest jakąś odpowiedzialnością moralną. Artysta, szczególnie sławny artysta, będący w życiu społecznym cenioną osobistością, obarczony jest tym większą odpowiedzialnością moralną. I nic nie zwalnia go od obowiązku analizowania tego wszystkiego, co wiąże go ze sprawami politycznymi jego czasów."

Mało komu dziś wiadomo, że osławione „Deutschland, Deutschland uber alles" posiada muzykę zaczerpniętą z jednego z kwartetów Josepha Haydna. Dokładnie z kwartetu C-dur, op. 76, nr 3, jeśliby komuś przyszła ochota sprawdzić. A przecież muzyka ta kojarzy nam się ze wszystkim, tylko nie z pogodną, klasycznie spokojną twórczością starego Haydna. Tomasz Mann spotkał się ze sceptycznymi uśmiechami swoich amerykańskich rozmówców, kiedy jął im tłumaczyć, że niegdyś słowa hymnu „Deutschland, Deutschland uber alles" wyrażały demokratyczne nadzieje Niemiec i wcale nie miały oznaczać, że te mają panować nad światem lecz jedynie, że ponad wszystko trzeba cenić swój kraj. I nie dziwimy się tym Amerykanom, że nie wierzyli wielkiemu pisarzowi. Czy my moglibyśmy mu uwierzyć?

JÓZEF GRZELAK

GUSTAW ROMANOWSKI

Wystawy Jerzego Frątczaka

Na tle innych zawodów artystycznych, architektura wnętrz — jest w odbiorze społecznym zazwyczaj całkowicie anonimowa. Bo jeśli nawet widok nowej budowli wywołuje jeszcze czasem u przechodnia pytanie o jej autorstwo, to wnętrze sali, układ plastyczny jakiejś wystawy, wystrój pomieszczeń sklepowych nie prowokuje już prawie z zasady podobnego pytania.

Czy jest to prawidłowość, czy tylko rezultat nieświadomości społecznej wobec pracy wnętrzarza?

Trudno tu o jednoznaczna odpowiedź. Wnętrzarstwo jest stare jak świat: odkąd człowiek zaczął wznosić domy, jeśli nawet były to z początku tylko szałasy, odtąd zrodziły się potrzeby funkcji i piękna wnętrza. Zabytki tej sztuki które pielęgnujemy dziś po muzeach, są najlepszym dowodem wielkiego artyzmu i znakomitej wyobraźni projektantów mebli czy wnętrz pałacowych. Jednakże dzieło artystyczne, jakim jest wnętrze, nie nadało nigdy swemu twórcy takiego splendoru społecznego, jakim cieszyli się np. malarze czy rzeźbiarze. Dlatego jakże często podziwiane dziś efekty działalności artystów wnętrza nie przechowały do naszych czasów nazwisk swych twórców.

W konsekwencji i dziś współczesny wybitny nawet architekt wnętrz, mimo efektownych realizacji, jest mniej znany niż mierny przedstawiciel tzw. „sztuki czystej". Sprzyja temu ukształtowana dotychczas propaganda plastyczna. Na dobrą bowiem sprawę jedynie „PROJEKT" zajmuje się poważnie problematyką architektury wnętrz; pozostała prasa kulturalna zwraca się ku tym sprawom tak rzadko, jak gdyby wnętrzarstwo nie było integralną częścią całokształtu kultury plastycznej społeczeństwa. A przecież architektura wnętrz daje równie dużo możliwości w kształtowaniu osobowości twórczej, co i malarstwo. Inne są tylko środki wyrazu i odmienne założenia artystyczne.

* ★ *

Śledząc drogę artystyczną Jerzego Frątczaka — łódzkiego architekta wnętrz, możemy zauważyć podobną pasję, takie samo zmaganie się z materiałem kształtującym zamkniętą przestrzeń, jak w twórczości rzeźbiarskiej.

Frątczak — absolwent łódzkiej PWSSP już w roku ukończenia studiów (1955) rozpoczął samodzielną działalność artystyczną z imponującym rozmachem, choć jak na wnętrzarza dość nietypowo. Były to bowiem projekty architektoniczne powiatowych wystaw rolniczych i realizacje pod „gołym niebem". Imponujące były przede wszystkim same powierzchnie tych wystaw: w Rawie Mazowieckiej — 8 ha, w Piotrkowie Tryb. — 4 ha, w Łasku — 6 ha i w Łęczycy — 5 ha. Takie realizacje, nie ograniczone tradycyjnym wnętrzem, zbliżone są w założeniu do projektowania urbanistycznego. Tak też potraktował je Frątczak. Np. dla wystawy w Łasku zastosował formę chat krytych słomą, w których znalazły pomieszczenia poszczególne działy przedmiotowe ekspozycji; całość miała charakter wsi słowiańskiej z wykorzystaniem naturalnych właściwości terenu. Wystawy te, posiadające również żywe uprawy, musiały być projektowane już w zimie, tak, aby potem kolorystyka rosnących kultur rolnych stanowiła planową kompozycję przestrzenną. Było to więc zamierzenie niełatwe, zwłaszcza dla debiutanta. Że zakończyło się pełnym sukcesem — to dowód dojrzałości artystycznej Jerzego Frątczaka.

Doświadczenia uzyskane w warunkach nietypowych dla architekta wnętrz, przyczyniły się jednak w poważnym stopniu do dalszego rozwinięcia się wyobraźni przestrzennej artysty, a więc i do sprawniejszego operowania w przyszłości takimi elementami przestrzeni, jak odległość i światło.

Następne bowiem projekty Frątczaka — to Targi Krajowe w Poznaniu (w 1959 r. i w 1960 r.). Ekspozycje ważne i trudne. Szczególnie udana okazała się ekspozycja tkanin dekoracyjnych na Targach Jesiennych w 1959 roku: w systemie ram i stelaży porozpinał Frątczak żakardy i gobeliny w taki sposób, jak gdyby były to przedmioty spełniające określone funkcje użytkowe. Takie odległe asocjacje do jakichś wielkich mebli: ekranów, oparć kanap i krzeseł — wywołały wrażenie przytulności, zacisza domowego. Dla takich przecież celów pracuje przemysł tkanin dekoracyjnych.

W 1963 roku z okazji odbywającego się w Warszawie Kongresu Mody, Frątczak projektuje ekspozycję wyrobów przemysłu lekkiego w salach Pałacu Kultury i Nauki. Założenia były trudne: należało pokazać wyroby całego przemysłu lekkiego — wełnę, bawełnę, len, jedwab, skórę. Poza tym ekspozycja miała prezentować kraj w sposób wyróżniający na tle ekspozycji innych krajów RWPG. Frątczak uczynił ekspozycję lekką, mocno prześwietloną i nadał jej dużą nośność kompozycyjną poprzez umiejętne przemieszczenie poszczególnych działów. Sukces handlowy tej wystawy był jednocześnie sukcesem artystycznym projektanta, ponieważ dzięki atrakcyjnej ekspozycji wyroby polskie łatwo wpadały w oczy zwiedzających.

W tym samym roku Frątczak projektuje ekspozycję wyrobów przemysłu lekkiego na międzynarodowej wystawie krajów RWPG w Moskwie. Tu zwracały uwagę wielkie manekiny, spełniające rolę żywiołowych akcentów plastycznych — a to dzięki oryginalnym draperiom.

W wielkiej ilości projektów wystawienniczych Frątczaka, wspomnieć tu jeszcze warto niezwykle funkcjonalną ekspozycję tkaniny „Polska Sztuka Użytkowa w 25-lecie PRL" w Łodzi. W trudnych warunkach lokalowych łódzkiej galerii Jerzy Frątczak potrafił pomieścić maksymalną ilość cennych artystycznie tkanin unikatowych i przemysłowych, nic nie tracąc jednak z przejrzystości wystawy, dla nawet mało doświadczonego widza.

Również z 1969 roku pochodzi projekt ekspozycji polsko-czechosłowackiej wystawy barwników zorganizowanej w gmachu „Chemikoloru" w Łodzi. Tu, w pomieszczeniu adaptowanym z magazynów, potrafił artysta zbudować wibrujący świat kolorystyczny współczesnej chemii, choć wystawa mająca w końcu charakter handlowy nie mogła być dziełem czystej improwizacji artystycznej. Tu zastosował Frątczak jako akcenty przemienne eksponaty w rozmaitych pojemnikach i duże znaki fabryczne: wszystko umieszczone na modularnej konstrukcji ciągu wystawowego. Posługując się modułem kwadratu, uniknął projektant grożącego tu — ze względu na wielość eksponatów drobnych — rozbicia kompozycyjnego wystawy. Inaczej wystawa mogłaby mieć charakter nużący i trudno przyswajalny.

Modułem przestrzennym posługuje się Frątczak często. Oczywiście, jest to za każdym razem moduł innego rodzaju. Artysta lubi bowiem formy jasne, logiczne, konstruktywistyczne.

Frątczak jest autorem układu przestrzennego i kompozycyjnego przeszło 30 wielkich wystaw, nie sposób je wszystkie nawet tu wymienić, tym bardziej omówić można tylko kilka wyrywkowych pozycji. I to bardzo pobieżnie. Rzecz jasna, jedne z tych realizacji były lepsze, inne gorsze. Nie zawsze zresztą pierwotny zamysł artystyczny daje się potem zrealizować. Zależy to przecież od wielu czynników, od organizatorów wystawy, od zmieniających się w trakcie realizacji warunków. Nie trzeba bowiem zapominać, że każda taka wystawa wymaga wielu miesięcy, często roku pracy. Od scenariusza, poprzez projekty etapowe, do gotowej już realizacji całości, ulega często zmianie pierwszy, czasem najlepszy pomysł. Każda jednak z pietyzmem wykonana wystawa ma swój okres eksponowania: po jego upływie praca wielu miesięcy ulega bezpowrotnemu demontażowi. Taki jest przecież charakter pracy projektanta wystaw. Pozostają jedynie zdjęcia, szkice, rysunki techniczne. Handlowcy segregują oferty, podpisują umowy, projektantowi nie pozostaje z wystawy nawet katalog.

Niełatwo więc i pisać o twórczości wystawiennika. Dokumentacja uboga, pamięć przeważnie zawodna. A jednak żal tych wystaw, które przechodzą w życiu kulturalnym nie zauważone. Bo choć Jerzy Frątczak ma na swym koncie wiele realizacji trwałych: ot, choćby projekty wnętrz kina „Czary" w Piotrkowie Tryb., kina „Bzura" w Łowiczu, Domu Kultury i Urzędu Stanu Cywilnego w Piotrkowie Tryb. i wiele innych — to jednak wystawiennictwo jest ta najszersza droga artysty. Powiedziałbym — życiową pasją.

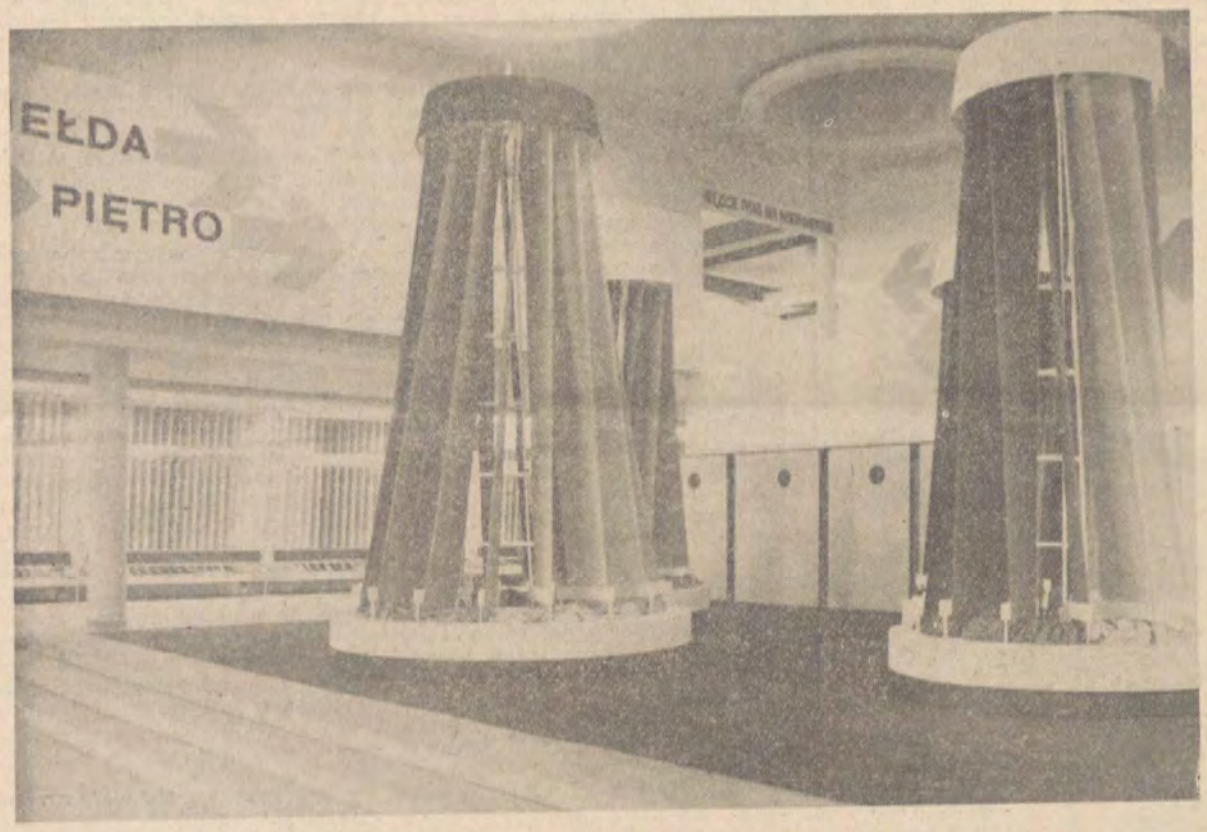

Projekt ekspozycji tkanin wełnianych — Targi Krajowe 1968. *Proj. Jerzy Frątczak*

Nagrody Pulitzera

Ostatnio w Nowym Jorku zostały przyznane nagrody Pulitzera. Otrzymali w tym roku nagrodę w dziedzinie prozy — pani Jean Stafford za zbiór opowiadań pt „Collected Stories", w dziedzinie poezji — Richard Howard za swój trzeci tom poezji pt. „Untitled Subjects" w dziedzinie historii — Dean Acheson za tom pamiętników, w dziedzinie teatru — Charles Gordonne za sztukę „Black, black comedy" w dziedzinie muzyki (nagroda po raz pierwszy) — Charles Wuorinen za kompozycję na instrument elektroniczny pt. „Times Encomium", w dziedzinie reportażu międzynarodowego — Seymour Hersch za artykuły o masakrze w Song-My, w dziedzinie fotografii — Steve Starr.

GORKI W FILMIE

Jeden z zespołów filmowych z Leningradu wykorzystując częściowo materiały w rzymskich wytwórniach filmowych, zrealizował dokumentalny film o Gorkim. Wielkiego pisarza zobaczą widzowie w trakcie kiedy pisał on powieść: „Klim Samgin". Film pokazuje także spotkanie Maksyma Gorkiego z Romain Rolandem.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

MEKSYK

Adriatyk. Ciepła, przezroczysta woda odsłania tajemnice swego dna. Poprawiam maskę i wolno płynę przez zatokę w kierunku urwistego cypla, za którym kończy się zakole, a rozpoczyna otwarta przestrzeń z widokiem na Mliet. Jeden z wielu moich morskich spacerów. Słona woda utrzymuje ciało na powierzchni. Tracę siły tylko na zautomatyzowane, harmonijne ruchy ramion i nóg. Pełny relaks. Rozluźnione mięśnie, głowa zanurzona w wodzie. Poprzez owalny szklany ekran maski obserwuję dziwny, prawie nie znany mi, podwodny świat. Czarne kępy ostrych jeżowców, kolonie różnej wielkości muszli przyczepionych do skał, pośród których leniwie, ospale snują się ryby.

Trochę boję się. Napatrzyłem się w dubrownickim akwarium na wszelkiej maści i wielkości rybie potwory o nie spotykanych u nas kształtach i barwie, na najprzeróżniejsze świństwa żyjące w śródziemnym morzu i teraz lękam się przypadkowego z nimi spotkania. Zwłaszcza, że rano rybacy pokazywali mi złowioną harpunem murenę. Cętkowana, wężowata, oślizła. Obrzydliwa. Nastraszyli mnie przy tym okrutnie mówiąc, że jej ostre zęby z łatwością odgryzają dłonie, palce u nóg. Wyciągam głowę z wody. Rozglądam się gdzie jestem — Adriatyku — mówię. — Nie zrobisz mi żadnego świństwa. Prawda? Przecież tak jest nam ze sobą dobrze. Przyjechałem do Ciebie w gościnę, przejechałem setki kilometrów, by tu być z Tobą, więc nie rób mi głupich kawałów. — Ciągnę ten nieco infantylny monolog, który ma przerwać narastającą niepewność, bojaźń. Przekonać o bezpieczeństwie. Opodal, z hukiem swych 7 mechanicznych koni sunie po wodzie, rozbryzgując fale, pontonowa łódź. Poznaje. To Niemcy, którzy sąsiadują z nami na campingu. Kiwają ręką. Czuję się raźniej. Robię skręt, by przepłynąć bliżej, jednocześnie redukują obroty silnika, by nie robić fali.

☆

Camping w Papratno oddalony jest o 5 kilometrów od starego miasteczka Ston. Położony jest w starym gaju oliwnym, który przylega do piaszczystego, co się nader rzadko w Jugosławii zdarza, brzegu zatoczki. Cicho tu i odludnie. Tanio i prymitywnie. Nie tak dawno, jak opowiadali starzy bywalcy, teren ten należał do prywatnych właścicieli. Teraz camping jest własnością przedsiębiorstwa „Adriatyk", które ma swoją filię w niewielkim hotelu w Stonie. Droga od Stonu do Papratno to jeden koszmar. Ostre kamienie, trudne do ominięcia dziury. Dzięki utrudnionemu dojazdowi, położony na uboczu adriatyckiej autostrady camping nie jest popularny. Wielu turystów po przejechaniu dwóch kilometrów rezygnuje z dalszej drogi. Dlatego można tu doskonale odpocząć. Nie ma tłoku, nie ma skrzekliwych tranzystorów, hałaśliwych małych dzieci, nikt nie zagląda sąsiadom do garnka. Jednak niedługo ta oaza spokoju i prymitywu utrzyma swoje zalety. Potężne walce kruszą kamienistą drogę, centymetr po centymetrze. Zgnieciona skała zamieniona w drobny proszek wypełnia wyboje, dziury. Robotnicy sekatorami i siekierami wycinają krzewy i drzewa, które od dziesiątków lat wyznaczały granice i drogi. Poszerzona droga ze Stonu do Papratno będzie miała wkrótce asfaltową nawierzchnię. Na urwistym stoku spadającym do zatoczki, tuż przy campingu, w połowie czerwca otworzono restaurację Boji Ankicy. Wybudowany będzie nowoczesny pawilon recepcyjny i dodatkowe urządzenia sanitarne.

Będzie światło, telewizja, elektryczne rożny, pralki, lodówki. Stary człowiek, który w zarzuconych na plecy koszach codziennie przynosi czereśnie, kartofle, ser, wino i rakije, opowiada jak ten kawałek Jugosławii wyglądał dawniej, jakie koleje losu przechodził podczas wojny. Ten stary człowiek z gór będzie już niepotrzebny. Osiołka, małego cioci ka z sympatyczną mordką, który tu w górach jest jedynym powszechnym środkiem transportu, zastąpi ogromna ciężarówka, wiozą ca żywność. Szkoda mi tego starego człowieka z gór, wina z jego piwnicy, cierpkiego o wspaniałym rubinowym kolorze, żal mi jego opowieści.

Po wyboistej drodze sunie, pełznie walec. Miażdży skałę. Kruszy ją. Robotnicy w białym pylastym kurzu układają kamienie. Siekiery wbijają się w pnie drzew. Już wkrótce tą drogą, w połowie której na skale można przeczytać napis, że w tym miejscu zginął bohater Michai Bojanović zastrzelony z zasadzki przez niemieckich faszystów, przemykać będzie długi wąż „mercedesów", „opli", „volkswagenów". I nikt się nie zatrzyma, by przeczytać ten wyryty w skale nekrolog. Nikt go nie zauważy, zachwycony pięknem krajobrazu, nie będzie miał czasu, a może nie będzie można zatrzymywać w tym miejscu samochodu, gdyż mógłby się zrobić korek.

* * *

Kelner w małej restauracyjce starej części Stonu, zapytuje łamaną niemczyzną — Was wollen Sie? Odpowiadam — Jedno wino

LUDMIŁA MOLENDA

NOWA SZATA NIOBE

Wiele już pisano o Nieborowie. Leży on w orbicie zainteresowania nie tylko Łodzi, od której jest oddalony o 62 km i stanowi ideal ny cel dla turystyki i niedzielnych wycieczek, ale, z racji funkcji jaką pełni — całego kraju. Pałac w Nieborowie jest oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie, co nadaje mu szczególną rangę, i należy do nielicznych w Polsce (bo jest ich 14) „obiektów zerowych", to znaczy takich, które posiadają najwyższą klasę zabytków architektury. Nie dziw więc, że o Nieborowie pisze się często, ale, jeśli można się tak wyrazić, od strony oficjalnej, reprezentacyjnej. Nam udało się wyjątkowo zajrzeć za nieborowskie kulisy, zobaczyć Nieborów „od kuchni". Stało się to z tej racji, że od kwietnia 1967 roku podwoje pałacu nieborowskiego zostały zamknięte dla zwiedzających i rozpoczęło się tam przedziwne misterium.

Każde muzeum ma w sobie coś z teatru. Sceneria, pełna bogactwa barw i kształtów, aktorzy, pochwyceni i utrwaleni w jakimś geście, ruchu, wyrazie twarzy. Zaczarowany, zaklęty teatr, na którego scenie tkwią w bezruchu, uśmiechające się subtelnym, tajemniczym uśmiechem — damy; hetmani i wojewodowie z wyrazem powagi i zadumania na twarzy, pachołęta, które miast płoche, są nad miarę poważne, matrony dostojne, strojne w klejnoty i pierścienie, połyskujące na białych, pulchnych palcach — wszyscy oni są nie tylko przedstawicielami dawności, ale bezgłośną mową oczu opowiadają jakieś tajemne prawdy o człowieku, o jego niezniszczalności, trwaniu.

A nad nimi polatują tłuste, pyzate barokowe amorki, w kątach mroczniejąc gdańskie, rzeźbione szafy, wabią oko misternymi inkrustacjami rokokowe kartoniery.

I oto, nagle, zaczarowany, śpiący teatr — ożył Damy w krynolinach i rotundach, świecące klejnotami — zeszły ze ścian, na których tkwiły od wielu lat, hetmani i rycerze opuścili swoje miejsca i ustawili się w długim korowodzie, błyskając groźnie oczami i mocniej zaciskając dłonie na ręko jeściach szabel, dziewczęta i pacholiki wyzwolone zostały z tak nieprzystojnego ich młodości bezruchu. Milczące theatrum napełniło się ruchem i gwarem. Ruszyły w wojaż do Warszawy, do Pracowni Konserwacji Zabytków, wielmoże z przesławnego rodu Nieborowskich z herbem Prawdzic, ruszył sławny ród Radziwiłłów, z księciem Michałem Hieronimem, głównym twórcą zbiorów pałacu nieborowskiego, na czele, i jego żoną Heleną z Przeździeckich — założycielką Arkadii . Ruszył poeta Adam Naruszewicz i kanclerz wielki koronny, Andrzej Zamoyski. I śliczna, młodziutka, a nieszczęśliwa księżna Anna Czartoryska. Do pracowni Muzeum Narodowego w Warszawie, w celach konserwacji, pojechało wiele eksponatów muzeum, a między innymi dwa ogromne globusy z mapą Ziemi i mapą Nieba, wykonane przez słynnego geografa włoskiego. Vincenzo Coronelli'ego w r. 1683, jak również słynna głowa Niobe, wykuta przez rzeźbiarza rzymskiego na wzór oryginału greckiego z IV w. p.n.e. (dar Katarzyny II dla Heleny Radziwiłłowej).

Wszystko to stało się za sprawą głównego inicjatora tego dziwnego exodusu — doc. dr Jana Wegnera, wieloletniego kustosza muzeum nieborowskiego, który już od roku 1945 troszczy się o stan muzeum, mobilizując wszelkie możliwe środki dla przeprowadzenia prac zabezpieczających. Prace te były na przestrzeni tych lat kontynuowane w sposób ciągły i odpowiedzialny, aż do chwili, gdy muzeum zostało zamknięte i przystąpiono do kapitalnego remontu. Remont taki był palącą koniecznością, gdyż, jak mówią kroniki, już w r. 1903, gdy książę Janusz Radziwiłł obejmował Nieborów po swoim stryju, ks. Michale Piotrze Radziwille, stwierdził z przerażeniem, że czekają go ogromne wydatki, związane z restauracją pałacu. Okazało się bowiem, że cały parter jest zagrzybiony. Czy wydatki te zostały poniesione — historia milczy. Sądząc jednak po stanie pałacu przejętego w 1945 r. przez Muzeum Narodowe — kapitał książęcy nie został uszczuplony. Nic więc dziwnego, że obecny remont wymagał ogromnego nakładu kosztów.

12.000 czerwonych złotych wyniósł koszt inwestycji, mającej na celu „reperację i przyozdobienie" pałacu, do której przystąpił w r. 1766 hetman Ogiński. Sumę tę pochłonęły tylko materiały i robocizna fachowych rzemieślników, gdyż przy zwózce materiałów, robotach budowlanych i ziemnych, pracowała bezpłatnie ludność pańszczyźniana. W okresie tylko trzech miesięcy oddano 720 dni pańszczyźnianych, a roboty trwały kilka lat. Tak bywało drzewiej.

Dziś doc. dr Wegner nie ma do dyspozycji pańszczyźnianych robotników. Chłopi przychodzą do pałacu jako goście, a nierzadko nawet jako jego... gospodarze, gdy organizują jakąś własną imprezę, np. występ kapeli ludowej. Dlatego też, realizacja obecnego, zakrojonego na wielką skalę, remontu, była możliwa jedynie dzięki kredytom inwestycyjnym Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Inwestycja nieborowska zajmuje obecnie drugie miejsce po Wawelu. Pieczę nad realizacją zadań sprawowała Komisja Opiniodawcza, pod przewodnictwem dyr. Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. dr Stanisława Lorentza. Głównym wykonawcą robót konserwatorskich i rekonstrukcyjnych była Pracownia Konserwacji Zabytków — Oddział w Warszawie.

Niemały wkład pracy dała również Łódź. Niektóre roboty, jak np. oświetleniowe, wodno-kanalizacyjne itp. zostały zlecone podwykonawcom. Jednym z podwykonawców były Zakłady Montażowo-Instalacyjne w Łodzi. Ponadto Spółdzielnia Rękodzieło Artystyczne w Łodzi, wespół z Zakładami Jedwabiu Naturalnego w Milanówku wykonała tkaniny obicio we jedwabne, w oparciu o raporty wzorów, opracowane przez dr Adama Nachlika z Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, który sprawował również nadzór techniczny i naukowy.

Wymienione zostały, tam gdzie to było konieczne, obicia, stolarka, stropy drewniane i ścianki działowe zastąpiono ogniotrwałymi, do wszystkich pomieszczeń doprowadzono instalacje co., wodno-kanalizacyjne i oświetleniowe, a co najważniejsze, cały budynek uzyskał podpiwniczenie.

Remont przyniósł też profit, w sensie naukowym, historykom sztuki. W czasie remontu — mówi dr Wegner — dokonano przypadkowo ciekawego odkrycia, które dotychczas nie zostało nigdzie opublikowane. Otóż, do tej pory istniała tylko luźna hipoteza, nie mająca oparcia źródłowego, a zbudowana jedynie na podstawie zachowanego z r. 1694 inwentarza dworu (który uległ zniszczeniu w czasie wojen szwedzkich), że pałac powstał na miejscu pierwotnego, zniszczonego dworu. Hipoteza ta została obecnie niezbicie potwierdzona. Kiedy odbito tynki na parterze, ukazały się ściany gotyckie, a w Sieni Głównej sklepionej natrafiono na pierwotne, ostre łuki gotyckie. Ustalono i zrekonstruowano z całą dokładnością zarys dawnego dworu Nieborowskich, z asymetrycznie zbudowaną sienią sklepioną przejazdową, która to asymetria typowa jest dla epoki gotyku. Do sieni tej, jak wieść niesie, wjeżdżano ongiś karetami. Odsłonięto i zrekonstruowano również dwa pierwotne łuki gotyckie. Ponadto, w szatni z Orłami odkryto na sklepieniu malowidła, o których nie zachowały się żadne przekazy, ani pisane, ani ustne.

Przeprowadzenie wszystkich prac remontowych prawie że jednocześnie, wymagało odpowiedniej synchronizacji, która nie była dziełem przypadku, lecz świadomego, przemyślanego działania. I dlatego, przed rozpoczęciem prac remontowych, został wybudowany specjalny magazyn o kubaturze ok. 1900 m sześc. Tu umieszczono na czas remontu wszystkie dzieła sztuki, zbiory biblioteczne i wszelkie mobilia pałacowe. Umożliwiło to jednoczesne podjęcie prac na wszystkich kondygnacjach.

Oglądaliśmy pałac nieborowski „in statu nascendi". Wszystko tu jest inne, nowe, choć to samo, choć z wiekowymi tradycjami. Trudno objąć ogrom pracy, jaką tu wykonano. Możliwe to było tylko dzięki wielkiej ofiarności, oddaniu i zaangażowaniu wszystkich, którzy brali udział w realizacji tego dzieła. Można byłoby wymienić wiele nazwisk. Ale trzeba byłoby wymienić ich bardzo wiele, aby nikogo nie pominąć. Za kulisami pałacu przez trzy lata wrzała praca. Odbywało się swoiste misterium. Nie było tu wielkiego rozgwaru i hałasu. Tu pracowało się w ściszonej tonacji, jak w świątyni. Ludzie, pouczepiani do ścian i sufitów, jak pająki, młode kobiety w roboczych kombinezonach, mężczyźni z brodami i bez, nie odróżnisz — robotnicy czy artyści, tyle, że ci drudzy wykonywali prace bardziej precyzyjne. Jedni rekonstruowali malowidła ścienne, inni „odkrywali kolory", co polegało na bardzo delikatnym zeskrobywaniu warstw farby, aby uzyskać pierwotne, oryginalne malowidła, jeszcze inni nanosili miękkimi, płaskimi pędzelkami cieniutkie, zwiewne płatki złota na sztukaterie (tak, tak, autentyczne dukatowe złoto). Nie pracowali w pośpiechu, gorączkowo, nie zezwalała na to precyzja wykonywanych prac, ale wyczuwało się, że pracują z wielkim pietyzmem, celebrują swoją pracę. Panowała tu dziwnie uroczysta atmosfera. Może złożyły się na to wieki? Może nawet staccato młotka nie zdołało wypłoszyć stąd tych, którzy tu kiedyś żyli — myśleli, pracowali, bawili się?

Nieborów był zawsze ośrodkiem pracy twórczej. Nawet w czasie remontu, korzystali z jego gościny ludzie nauki, kultury, sztuki. Ale nie znaczy to wcale, że Nieborów jest jakąś wyizolowaną, ekskluzywną wyspą szczęśliwości, azylem dla wybranych. Zasięg jego oddziaływania jest bardzo szeroki. Jego podwoje są otwarte dla wszystkich. Przez długie wieki — siedziba wielmożów — teraz jest żywym ośrodkiem kulturalno-oświatowym dla okolicznej wsi, żyje z nią w idealnej symbiozie. Nawet „przedszkolaki" mają tu prawo wstępu, nie mówiąc już o dorosłych mieszkańcach.

Dzięki nowej szacie, Nieborów zyskał jeszcze na znaczeniu jako osiedle reprezentacyjne, ośrodek o szerokim zasięgu nie tylko w skali krajowej, ale i międzynarodowej. Frekwencja zwiedzających wynosiła przed remontem 80.000 osób rocznie, teraz liczy się na jej zwiększenie. Nie kombinat przemysłowy, nie stocznia, nie huta, a jednak dochody, jakich przysparza państwu idą w poważne, milionowe sumy.

Fot. A. Wach

w JUGOSŁAWII (2)

— I zaraz dodaję — Ja sam Poljak!

— Pardon, izwienitie — zmieszany przeprasza, wtrącając różne zasłyszane słowa przeprosin. Zdumiony jestem tą reakcją. Wyjaśniam więc, że przecież nic się nie stało, powiedziałem że jestem Polakiem, gdyż łatwiej nam będzie się w naszych językach porozumieć. Kelner jednak w dalszym ciągu z jedną ręką położoną na piersi zgina się, przeprasza jąc za omyłkę. — Dwa wina — mówię, chcąc zakończyć niezręczną sytuację. Przepijamy do siebie, a ja jednocześnie zagaduje kelnera czy nie wie, gdzie mógłbym obejrzeć telewizję. Dziś bowiem będzie transmisja telewizyjna z mistrzostw świata w piłce nożnej w Meksyku, mecz Anglia — Niemcy i chciałbym to spotkanie koniecznie zobaczyć.

— Rozumiem, rozumiem, ja też jestem kibicem piłkarskim — odpowiada, przeprasza na chwilę i idzie do sąsiednich stolików. W restauracji maleńkie zamieszanie, czuję, że siedzący w niej mężczyźni patrzą w moją stronę. Po chwili kelner jest przy moim stoliku. Obok niego stoi wysoki, czarny mężczyzna. Podwinięte rękawy koszuli, wyciągnięta na powitanie dłoń, szczery przyjazny uśmiech. — Moglibyśmy mecz oglądać u mnie w domu, ale obraz jest nie najlepszy. Góry. Raz dobrze widać, raz źle. Ale pójdziemy do mojej siostry, ona mieszka w nowej części Stonu, w blokach. Tam dobrze widać. — Dziękuję za zaproszenie, konwencjonalnie pytam, czy aby swą wizytą nie sprawię kłopotu. Skądże, on sam jest wielkim kibicem piłkarzy Hajduka Split i właśnie miał zamiar iść do siostry na telewizję.

Nowy Ston jest po drugiej stronie szosy wiodącej w głąb półwyspu Peljesac.

Siostra przyjmuje nas serdecznie, wnosi na stół słone ciastka i winiak. Wypijamy pierwszy toast równo z gwizdkiem sędziego. Z początku gra wyrównana, szybka. Bardziej składnie grają Anglicy, mają więcej szybkich akcji pod bramką Niemców. Oni też zdobywają pierwszego gola. Ładny strzał, po szybkiej akcji ze skrzydła, piłka strzelona fałszem, wydawało się, że wyjdzie na aut, tymczasem zatoczywszy łuk wpadła do siatki tuż obok słupka. Niemcy próbują atakować. Bez powodzenia. W drugiej połowie Niemcy przyśpieszają tempo, ale druga linia Anglików rozbija wszystkie ataki zanim jeszcze stworzona zostanie jakaś groźniejsza sytuacja na przedpolu bramki Banksa. Natomiast akcje Anglików są składne, szybkie i co najważniejsze przynoszą im drugą bramkę, a w chwilę później o mało nie zdobywają trzeciej! Piłka minęła o centymetry prawy słupek. Od tej chwili coś jakby zaczęło się psuć w drużynie angielskiej. Najpierw trener Ramsey wycofał z gry Charltona, który był do tej pory motorem wszystkich akcji. Będąc pewny zwycięstwa, widocznie chciał oszczędzić na inne spotkania niemającego najlepszej kondycji popularnego, łysawego Boby. Natomiast Niemcy a zwłaszcza Beckenbauer parli teraz ze wszystkich sił do przodu. Coraz więcej groźnych, nawet idealnych pozycji pod bramką Banksa, ale gol nie pada. Kontrataki Anglików są teraz niemrawe, Niemcy zaś coraz bardziej rozkręcają się. Grają twardo, nieustępliwie. Pierwszą bramkę strzela po solowym przeboju Beckenbauer. Anglicy się bronią. Niemiecki atak idzie bez pardonu do przodu, piłka za piłką wraca na przedpole Banksa. Wreszcie centra z lewej na prawą stronę, do lecącej piłki wyskakuje obrońca angielski i Uwe Seller. Banks spodziewał się, że napastnik niemiecki jeśli zdoła dosięgnąć piłki, uderzy ją czołem. Silnie. W bliższy róg. Wybiegł krok naprzód. Tymczasem Seller uderzył piłkę tyłem głowy, zmieniając kierunek lotu, ale zarazem i podbijając ją do góry. Banks próbował się cofnąć, ale, niestety, piłka wysokim lotem ponad bramkarzem szybowała powoli nieuchronnie w okolice spojenia słupka z poprzeczką. To był przełomowy moment meczu. Anglicy próbowali się jeszcze poderwać do kontrataku, ale zostali zepchnięci do obrony. Zwyciężyli mistrzów świata kondycją. Wreszcie stali się panami na całym boisku i wtedy padła trzecia decydująca bramka. Strzelił ją as atutowy Mueller.

Jest już pierwsza w nocy, gdy opuszczam mieszkanie. Idę do swojego namiotowego domu. Mam czas, by przeanalizować cały mecz. Od dwa zero dla Anglików do trzech zdobytych bramek przez Niemców. Księżyc oświetla mi drogę. Mijam zwalone pnie drzew, pościnane krzewy, zostawione na noc, potężne masywne maszyny drogowe. Tak, Niemcy rozbili Anglików jak ten walec kruszy skały centymetr po centymetrze, powoli, twardo, nieustępliwie. Bez polotu i fantazji, ale konsekwentnie. Solidnie. Siłą. Kondycją. Mieli wszystko wytrenowane, jak dobry rutynowany stary rzemieślnik. Ale przecież istnieją obok rzemieślników, prawdziwi artyści, którzy w odpowiedniej aurze potrafią dokonywać rzeczy zaskakujących i niezwykłych. W piłce nożnej też.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Romana i Aleksander HAŁATOWIE

Większość ludzi, stwierdza Lacios: „zrezygnowałaby nawet ze swych przyjemności, jeśliby trzeba było za nie zapłacić trudem refleksji". W związku z niniejszym szkicem o twórczych sylwetach Romany i Aleksandra Hałatów, nasuwa mi się okazja sformułowania paru refleksji, które są i będą zawsze konieczne, dla mnie osobiście z racji przyjemności ich opublikowania, dla czytelników zaś, z racji ich apriorycznej do nich niechęci.

Z wielu punktów widzenia sztuka plastyczna dzisiaj może się wydawać bilansem dekadencji: mit nadzwyczajności zdegradowany, autentyczne zaangażowanie w stanie kryzysu, obniżona wartość form i konwencji, rozszerzenie się szaleńczego zainteresowania tymi dziedzinami życia, które mogą spowodować zniszczenie naszej cywilizacji. Wszystko to jest faktem, ale może się zdarzyć, że plastyka odnajdzie sens w twórczości opartej o trwałe podstawy. Może się zdarzyć, że nadmiar nihilizmu artystycznego wywoła sprzeciw i powstaną nowe formy tak pełne jak w wieku Odrodzenia. Oczywiście tej nowej sytuacji nie da nam filister, który potępia wszelką sztukę. Dla takiego człowieka jedyny dostępny mu stopień odczuwania polega na kryzysie poczucia pewności. W związku z tą sprawą można by także powiedzieć, że niewielu ludzi interesowałoby się malarstwem, gdyby nigdy nie słyszeli o życiu malarzy. Trochę mają racji. Tworzyć — to żyć.

Romana i Aleksander Hałatowie to jedni z najzdolniejszych absolwentów jakich wypuściła Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi, w okresie dwudziestopięciolecia swej działalności. Nie sposób więc mówić o sztuce Hałatów bez podkreślenia ogromnych trudności, z jakimi walczą. Dziewiąty rok bez awansu w swojej macierzystej uczelni, w której pracują. Ich definicja sztuki pomija popularną wskazówkę, że sztukę lub też karierę artystyczną robi się najczęściej przy pomocy pieniędzy. Nie nudzą się i

Romana Hałat — obraz, olej „Południe",

Aleksander Hałat — forma przestrzenna

brak w nich potajemnej zasady oszukiwania widza. Sytuacja ta zresztą dotyczy nie tylko tej pary twórców. W tym samym czasie obrazy mierne, żeby nie powiedzieć wulgarnie banalne, odnoszą na niektórych wystawach żenujące sukcesy. W każdym razie jest paradoksem, że Romana i Aleksander Hałatowie dotychczas nie zdobyli rozgłosu, na jaki zasługują.

Platon sądził, że geometryczne piękno jest najdoskonalszym pięknem wszechświata. Ale nie przypuszczał, że sztuka może stawiać sobie za zadanie przedstawianie tego piękna. Platon ograniczał swoją myśl do pojęcia linii prostej i koła. Ja mam na myśli linię i płaszczyznę. Pisząc o malarstwie Romany Hałat, podkreślam szczególnie piękno jej linii i płaszczyzn w obrazie. Niegeometryczne piękno kreski i plamy (kolor może być pojęciem także geometrycznym lub niegeometrycznym), piękno jej formy, nie jest dla mnie pięknem jedynie abstrakcyjnym, jestem przeświadczony, że świat jest stworzony z dwóch strukturalnych elementów: z form geometrycznych, które stanowią jego osnowę, i z form niegeometrycznych, które stanowią jego watek. Podziwiam sztukę Romany Hałat za to, że przedstawia zewnętrzny wygląd rzeczy w sposób urzekająco piękny. Za uchwycenie pozoru, złudy, o której kiedy się mówi, że jest, to już jej nie ma. Chwalę Romanę Hałat, że nakrywa sztukę szkieletów, martwych twarzy i zgniłego mięsa, piękna powłoka żywej tkanki. Wielu ludzi sądzi, że pasja jest absurdem, rodzajem zatrucia, stanem duszy człowieka nienormalnego. Oczywiście tak się sądzi, ale w to się nie wierzy. Artysta nowoczesny, to człowiek pasji. Jest tym, co zmienia swoje życie, wzbogaca je niespodzianką, ryzykiem i radością. Stare złudzenie, strasznie naiwne, jeżeli jest się artystą z kaprysu. Złudzenie wolności i pełni o ile nie poparte wiernością sztuce. Nazwać można artystą tylko człowieka, który panuje nad swoją sztuką. Takim twórcą jest Aleksander Hałat, malarz i wyjątkowo predysponowany do rzeźby monumentalnej. W naszych czasach estetyczny uniformizm rozszerzył się w sposób niesłychany. Wzmagają go środki techniczne, a często nawet banał polityczny. Przedmiot pasji zostaje odpersonalizowany, a sztuka zdyskwalifikowana, jeżeli obraz nie przypomina typu najbardziej modnego. Artysta, który przypuszcza, że tworzy swoje obrazy, jest w istocie wewnętrznie zdeterminowany przez modę lub handel i lansowane nowości. Wydaje mi się, że ten pogląd u Hałata weryfikuje jego stosunek do współczesnej mu sztuki. Z obserwacji natury i poszukiwań plastyki unizmu oraz twórców nadrealizmu wyciągnął wniosek o odkrywczej wartości zawartej w elemencie zaskoczenia. Istotą niezwykle dojrzałej sztuki Aleksandra Hałata są pozornie ze sobą sprzeczne dwie zasady: niespodzianka i porządek. Twórczość taka zatem nie mieści się w ramach określonej szkoły, stanowi program otwarty. Ja sam swoją własną koncepcję estetyczną utożsamiam z postawą artystyczną Hałata. Malarz — to poeta, plastyka to poezja totalna.

Hałat w okresie swego rozwoju nie miał teorii, najwyżej sprowokował ją w postaci takiej, jaką stała się obecnie twórczość kręgu plastyków „Konkret".

TV OBIEKTYW

PO JUBILEUSZU

Rok ubiegły był w stosunku do Wyspiańskiego rokiem rocznicowym. Jak zwykle przy takich okazjach nie brakło jubileuszowych publikacji, licznych premier w teatrach, artykułów i esejów. Trudno w takich razach utrzymać miarę, a nadmiar może prowadzić u publiczności do pewnego znużenia.

Ponadto wielkiego artystę przedstawia się na użytek rocznicowy w sposób specjalny, windując go na jak najwyższy piedestał. Wyspiański z pewnością zasługuje na wszelkie przejawy atencji, a przecież mimo to przyjemniej wracać pamięcią do tego wielkiego artysty w atmosferze codzienności, a nie przy dźwiękach jubileuszowych trąb. Może dlatego, że on sam był w życiu prywatnym człowiekiem tak skromnym i niesmiałym, nie znoszącym odświętnej pompy...

Dobrze więc się stało, że Telewizja Polska zdecydowała się na powtórzenie programu Studia 63 „O Wyspiańskim" gdy przebrzmiały jubileuszowe fanfary. Widowisko przygotowane wszechstronnie przez Adama Hanuszkiewicza (scenariusz i reżyseria), warte jest przypomnienia i szerszego omówienia.

Przyzwyczailismy się już do interesujących prób popularyzowania wielkiej literatury w skromnie zakrojonych ramach Studia 63. Hanuszkiewicz zwykł tu działać na pograniczu estrady literackiej i inscenizacji. Tak było i tym razem. Reżyser rozpisał między grono wykonawców — ze znakomitym Gustawem Holoubkiem, Zofią Kucówną, Andrzejem Łapickim i Andrzejem Szczepkowskim na czele — urywki wspomnień i anegdot o Wyspiańskim zapisanych przez współczesnych mu ludzi.

Pisali te słowa ludzie wybitni — Stefan Żeromski (dramatyczny opis wizyty u śmiertelnie chorego poety), Andrzej Frycz, Adam Grzymała-Siedlecki, Tadeusz Boy-Żeleński, Wanda Siemaszkowa. Są to z reguły zapiski przepojone szczerym sentymentem i nie ukrywanym wzruszeniem w kreśleniu rysów wielkiego artysty. Uzupełniane cyklem autoportretów Wyspiańskiego z różnych okresów jego życia, składały się na intymny obraz człowieka i artysty, w którego życiu wewnętrznym nie było podziału na to co prywatne, osobiste i na to co społeczne, narodowe.

Dyskretny element inscenizacji wprowadza Hanuszkiewicz, każąc Kucównie, wykonawczyni roli Panny Młodej w „Weselu" w Teatrze Powszechnym i Narodowym, wygłaszać wspomnienia Wandy Siemaszkowej — Panny Młodej z krakowskiej prapremiery — w ludowym stroju krakowskim. Reżyser nie każe wykonawcom przeistaczać się w postaci, których słowa wypowiadają. A przecież zaciera się granica między hołdem składanym Wyspiańskiemu przez współczesnych mu i hołdem, jaki składają mu aktorzy występujący przed kamerami telewizji.

Scenariusz programu „O Wyspiańskim" jest dziełem człowieka teatru, nie literata. Nic dziwnego więc, że główny akcent położono na zasługi Wyspiańskiego dla teatru. Ale też właśnie teatr stanowił dziedzinę, w którą pragnął on tchnąć sumę swych doświadczeń artystycznych całego życia: literackich, malarskich, myślicielskich.

W program „O Wyspiańskim" wpleciona została wielka scena z „Wyzwolenia" — rozmowa Konrada z Maskami. W scenie tej zawarł Wyspiański swój rozrachunek z narodowymi mitami, niewolny od wszystkich wątpliwości i wahań. Hanuszkiewicz rozegrał ją środkami prawdziwie telewizyjnymi. Przez cały czas pierwszy plan stanowi zbliżenie twarzy Konrada-Hanuszkiewicza po prawej stronie ekranu. W dalszym planie wymieniają się Maski. Są to po prostu zniekształcone nieostrością twarze aktorów. Ta skrótowa koncepcja wizualna stworzyła sytuację sprzyjającą maksymalnemu skoncentrowaniu się na tekście.

A gdy przebrzmiały słowa z „Wyzwolenia", Holoubek wygłosił na zakończenie programu fragment studium-poematu Wyspiańskiego o Hamlecie. Tym razem nie tylko aktor składał hołd pisarzowi, ale i pisarz aktorom w słowach:

To nie są błazny — chociaż błaznów miano,
oklaskiem darząc w oczy im rzucano —
lecz ludzie — których na to powołano,
by biorąc na się maskę i udanie
mówili prawdy wiecznej przykazanie.
Na co stać kogo, tajemnic tych sięgaj;
wieczna w tym siła, groza i potęga.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

W włoskim filmie Carla Lizzaniego „BANDYCI W MEDIOLANIE" jedna z postaci porównuje przedstawiane zdarzenia z sytuacją, jaka swego czasu panowała w Chicago. Porównanie jest trafne: to samo tam i tutaj sterroryzowanie miasta przez gangsterów, podobne metody terroru, podobne wreszcie rejony działalności, w których gangsterzy osiągają najwyższe zyski. Czy podobne jest także podłoże społeczne i polityczne gangsteryzmu, w Chicago, dochodzącego szczytu z początkiem lat 30, obecnie (1968) kwitnącego w Mediolanie?

Film podsuwa takie pytania, odpowiedź mamy sformułować sami. Pod tym względem gangsterski produkt włoski jest delikatniejszy od swych amerykańskich pierwowzorów, które szukały, a znajdując — nazywały po imieniu przyczyny gangsteryzmu. Tyle, że poszukiwania starych, klasycznych filmów gangsterskich szły w kierunku niemal wyłącznie psychologicznym. Źródło gangsterskiej profesji biło w sercu gangstera. Był on człowiekiem nie przystosowanym, czasem budził współczucie — zwłaszcza, kiedy miał twarz wyspecjalizowanego w takich rolach Humphrey'a Bogarta.

Lizzani rezygnuje z naiwnej psychologii. Bądź ściślej, wskazuje na bezpłodność jej ustaleń. Przywódca gangsterskiej grupy czyta w łóżku Trumana Capote'a „Z zimną krwią", książkę znaną i u nas, a świadczącą, że w postaciach morderców nie kryła się żadna zawikłana, tym bardziej zaś demoniczna psychologia.

Być może, właśnie przez odrzucenie czy poddanie w wątpliwość wyjaśnień psychologicznych film Lizzaniego jest tak drapieżny i tak nieludzki. Z magmy wielkiego miasta wybiera postaci, które zawód gangsterski traktują zwyczajnie, jak każdy inny. Interesują się wyłącznie techniką czynu i narzucają i nam równie wąskie zainteresowania. Prócz fachowego wykonania nic dla nikogo nie jest ważne.

Jest to podejście rzeczowe, chwalone (choć nie jednomyślnie) w innych dziedzinach działalności współczesnego człowieka. Zastosowane do dziedziny, z natury rzeczy domagającej się refleksji moralnej — tym wyraźniej ukazuje swoje groźne oblicze. Wydaje mi się, że stąd wypływa uderzająca nowoczesność filmu Lizzaniego. Prawda, że na wrażenie nowoczesności składają się również środki formalne rodem z cinema verite, które pozorują dokumentalizm akcji, i których Lizzani używa z olśniewającym mistrzostwem. Lecz mają one znaczenie drugorzędne wobec wymowy „Bandytów w Mediolanie", gorzkiej i moralnej przez to, że z działania bohaterów zniknęły przesłanki moralne.

Reżyser filmu „CO WIECZÓR O JEDENASTEJ", Samson Samsonow, debiutował w 1955 roku opartą na opowiadaniu Czechowa „Trzpiotką". Otrzymał za swój debiut — za subtelność i liryzm, z jakim kreślił postaci — nagrodę „Srebrnego Lwa" na festiwalu w Wenecji. Z podobną, co w „Trzpiotce" czułością pochyla się Samsonow nad prostymi sprawami ludzkimi w „Co wieczór o jedenastej".

Jest to film o miłości. Lubiany przez widzów, polecany w prywatnych rozmowach, przez pryncypialną krytykę przyjęty został z rezerwą. Co do „Zastępcy" — ten zamiast pisać o czysto filmowych zaletach „Co wieczór o jedenastej" wolałby zwierzyć się, że film, po pierwsze, pokrzepił go, po drugie, wysoce mu zaimponował. Krzepiący wydał się „Zastępcy" wiek bohaterów, ludzi nie najmłodszych, mających już za sobą pewne, nie zawsze pogodne przeżycia (pod tym względem przypominają bohaterów „Kobiety i mężczyzny" Claude Leloucha), a przecież zdolnych do doznawania i okazywania uczuć w sposób świeży i młodzieńczy. Ten film łagodzi lęk przed rosnącym z wiekiem chłodem uczuciowym — pomyślał sobie „Zastępca" i zrobiło mu się lżej na sercu.

Ponadto, myślał dalej, „Co wieczór o jedenastej" wyzwala nas po trosze spod terroru wzorców kultury masowej. Jak bowiem zauważył jeden z socjologów, bodaj Mircea Eliade, kultura masowa — w filmie i w telewizji, a szczególnie w magazynach ilustrowanych — uznaje i propaguje niemal wyłącznie ludzi ładnych i młodych. Stąd brzydsi i starsi jeszcze się pobrzydzają — ot, choćby nieodpowiednim ubiorem.

Pójście na przekór wzorcom — już to samo dla „Zastępcy" jest imponujące. Jednakże w „Co wieczór o jedenastej" imponuje także coś więcej. Przyjęło się w dzisiejszym kinie, że opowieści o dwojgu ludziach każdorazowo musi towarzyszyć prześcieradło. Michał Radgowski nazwał nawet takie filmy „prześcieradłowcami". Kino pokazuje fizyczną stronę miłości. Nie warto dochodzić, kto stworzył tę modę, zapewne Szwedzi, za nimi pospieszyli Francuzi i naturalnie Polacy („Gra" Kawalerowicza!). Samsonow zignorował modę i po staroświecku zajął się częścią człowieka, biegnącą od pasa wzwyż. Zajął się ludzkim sercem, w którym romantycy widzieli siedlisko uczuć, i umysłem, który opanowuje bądź ulega uczuciom. Staroświeckość Samsonowa najbardziej budzi szacunek w „Zastępcy". Więcej: czytając o anty-seksofali, która nieśmiało zaczyna sączyć się w różnych krajach, dopatruje się w Samsonowie prekursora nowego spojrzenia na miłość w kinie.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SZTUKA ZA CZASÓW TIMURYDÓW

Ostatni jaki do nas dotarł numer radzieckiego miesięcznika „Isskustwo" przynosi m. in. interesujące omówienie Międzynarodowego Sympozjum jakie odbyło się w zeszłym roku w Samarkandzie z inicjatywy UNESCO. Na sympozjum, którego tematem była sztuka Azji Centralnej

Lekcja w medresie. Miniatura z początków XVI w. wykonana w Heracie

turowy omawiany na sympozjum zamyka się w granicach wieku XIV i XV. W tym to bowiem czasie na terytoriach Azji Środkowej, Afganistanu i znacznej części Iranu zaznaczył się wspaniały rozkwit literatury, architektury, rzeźby, ceramiki artystycznej i muzyki. Poszczególne ośrodki kultury nawiązywały ze sobą łączność, przenikały się wzajemnie wpływy, wytwarzał się pewien syntetyczny i zharmonizowany styl twórczości, w którym splatały się osiągnięcia naukowe i artystyczne różnych krajów i narodowości. Architektura tego czasu na obszarze państwa Tamerlana i jego następców odznacza się monumentalnością form. Charakteryzują ją wysokie portale, kopuły, staranność wykończenia szczegółów, wielkie mistrzostwo wykonania, bogactwo ozdób, oryginalność pomysłów architektonicznych. I tak np. w Urgencz, dawnej stolicy Chorezmu wznoszono w wieku XIII, a jeszcze więcej w XIV wspaniałe mauzolea, a mauzoleum Tiurabekchana jest jednym z prawdziwych arcydzieł architektury Centralnej Azji. Na zewnątrz ma formę dwunastościennego graniastosłupa, wewnątrz zaś jest sześciokątne. Zdobi je plafon z kunsztownej mozaiki.

Niezwykle ciekawymi formami wyróżniały się w tym czasie wyroby ceramiczne, rzeźby zwłaszcza w drzewie i marmurze, a do prawdziwego kunsztu doprowadzono malarskie miniatury, będące ilustracjami książek. Rozwijały się nauki ścisłe, a astronomia święciła swoje triumfy. W Samarkandzie żył słynny uczony wnuk Tamerlana, Muchamed Taragaj Uługbek (1394—1449), który zbudował obserwatorium astronomiczne, wyposażone w rozmaite przyrządy do obserwacji ciał niebieskich. Tutaj też powstał katalog gwiazd i ułożono tablice obrotu planet. Uługbek był też założycielem wielkiej naukowej biblioteki. W XV wieku w Heracie, stolicy ówczesnej prowincji Chorezmu żył i tworzył wielki myśliciel, poeta i polityk Aliszer Nawoi (1441—1501). Został on wezyrem władcy Husejna Bajkary i na tym stanowisku troszczył się o rozwój nauk, kultury i dobrobytu. Napisał poematy składające się na tzw. „Chamsa" (Pięcioksiąg) oraz wydał cztery większe zbiory utworów lirycznych „Czahar diwan". W swych dziełach literackich walczył o swobodę myśli i uczuć, opiewał piękno miłości, stworzył wspaniałe postaci bohaterów, czułych i kochających, a równocześnie silnych duchem kobiet.

Referaty i dyskusja w trakcie sympozjum poruszyły wiele ciekawych spraw. I tak np. zwrócono m. in.

Wykonana w Heracie, w XV w. miniatura do poematu żyjącego na przełomie XII i XIII w. Iljasa ibn Jusufa Nizami.

uwagę na wysoce artystyczne wyroby z metalu i nefrytu, podkreślono, że w omawianym okresie do malarstwa dekoracyjnego, które nie znało perspektywy, malarze wprowadzili wysoko umieszczany horyzont co dawało wrażenie głębi, że początkowe kompozycje wyłącznie roślinne wzbogaciły się w ciągu XIV i XV wieku o postacie ludzi i zwierząt. Wyrażano też żal, że sztuka z omawianego okresu Centralnej Azji jest tak mało spopularyzowana. Toteż powstał projekt wydania obszernego albumu ilustrującego skarby kultury z czasów Timurydów.

W SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE LOUISA ARMSTRONGA

Z okazji siedemdziesiątych urodzin Armstronga odbywa się wiele imprez dla uczczenia sławnego muzyka i wokalisty jazzowego. I tak Festiwal Jazzu w Newport w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się oddaniem hołdu Armstrongowi.

W Los Angeles siedem tysięcy osób różnego wieku wzięło udział w trzy i półgodzinnej „Jazz session" poświęconej uczczeniu Louisa. Pięć wielkich zespołów jazzowych przypomniało koncerty Armstronga. Sam Louis śpiewał przez kwadrans. Potem ku wielkiej radości zebranych wystąpił przedstawiciel Nowego Orleanu oznajmiając, że jego miasto w hołdzie dla wybitnych zasług Armstronga postanowiło wznieść jego statuę w dzielnicy starego miasta.

W Provins we Francji Duke Ellington wystąpił z koncertem dla uczczenia Armstronga. Wieczór ten miał nazwę „Portret Louisa".

Przypomnijmy króciutko, że Daniel Louis Armstrong zwany popularnie „Satchmo" lub „Pops" urodził się 4 lipca 1900 roku w Orleanie. W swej niezwykłej karierze artystycznej stał się pierwszym w historii muzyki tak sławnym i znanym muzykiem jazzu, wokalistą i artystą estradowym.

Zdradza muzyczne uzdolnienia już od dziecka. W roku 1917 występuje w zespole puzonisty Kida Ory, w latach 1922-24 należy do zespołu słynnego King Olivera z Chicago. W roku 1924 wyjeżdża do Nowego Jorku, gdzie zdobywa ogromne uznanie. W roku 1927 tworzy własny zespół jazzowy w Chicago. Wkrótce zdobywa sławę nie tylko w Ameryce ale i w Europie. Przybywa tu po raz pierwszy w roku 1932 z występami w Londynie. W roku 1944 staje na czele własnego zespołu wyborowych muzyków nadając zespołowi nazwę „All Stars" — „Same Gwiazdy" (byli to równie jak sam Armstrong zwycięzcy ankiety pisma „Esquire"). Ogromnym sukcesem Armstronga był po raz pierwszy występ zespołu jazzowego w nowojorskiej operze Metropolitan.

TEATR OBRAZCOWA

W Moskwie zostało otwarte specjalne studium Aktorów i Reżyserów Teatru Marionetek, na czele którego stanął, jak go nazywają dziennikarze, „czarodziej świata lalek" — Sergiusz Obrazcow. Od lat czterdziestu prowadzi on moskiewski Teatr Marionetek. Na czele swej grupy artystycznej Sergiusz Obrazcow odwiedził 20 krajów Europy, Azji, Afryki i Ameryki. Studiu chacze nowo założonego studium będą przechodzili naukę i odbywali staż oraz dawali przedstawienia w Teatrze Marionetek, który w jesieni będzie miał nową siedzibę, w budynku nad którego projektem pracował również i Obrazcow. Budynek teatru zostanie przystosowany do specyfiki teatru lalek. Repertuar tea

Siergiej Obrazcow

tru w nowej siedzibie nie zmieni się zasadniczo. A więc nadal będą tam grywane bajki dla dzieci, a dla starszych komedie i wodewile. Nowy budynek pozwoli na dawanie dwóch spektakli jednocześnie. Jedna sala pomieścić ma 500 osób, w drugiej oglądać będzie przedstawienie 200 widzów. Nowy teatr ma mieć ogród zimowy, a w foyer zostaną umieszczone akwaria z rybkami, aby młodzież i dzieci mogły się im przyglądać podczas przerw.

Nowy budynek poszerzy niewątpliwie możliwości Teatru Marionetek, a w nowo otwartym studio szkolić się będą nowe kadry artystów teatrów lalkowych.

Bez strachu

Słowa i kamienie

Siedziałem nad górskim strumykiem i oglądałem kamienie. Kamienie pod wodą, kamienie nad wodą. Obok ktoś mówił, słyszałem słowa, rozumiałem słowa. Oto różnica pierwsza: słowa (mówione) słyszę, kamienie widzę, oczywiście słowa rozumiem, kamieni nie rozumiem... Wydaje się, że kamienie są względnie trwałe, jednak powoli przemijają — szczególnie te widoczne nad strumieniem, podnoszę dziwacznie wykruszoną płytkę kamienia i to namacalne stwierdzenie kamiennego przemijania napełnia mnie poczuciem szczęśliwości, a jestem bowiem po stronie słów, przeciw kamieniom... Ale dlaczego, przecież nie trzeba wybierać, między słowami a kamieniami nie ma walki, nie ma też odpowiedzialności, umożliwiającej wymianę. A jednak ja przywykłem do wybierania, do stawania po stronie tego lub owego. Kogoś muszę wspierać, kogoś zwalczać, jeżeli nawet zdołam uszlachetnić tę skłonność — kogoś muszę obdarzać większą, a kogoś mniejszą sympatią. Taki przybyłem z wielkiego miasta nad strumień, niepomny, że tutaj obowiązują inne, strzemienne prawa — prawa zbliżenia jedności... Czy mam i mogę wybierać między wiatrem a obłokiem? Ciągle powraca zgiełkliwa myśl, odgłos wielkomiejskiej ulicy... czy starsze, bardziej czcigodne są słowa, czy kamienie? Kamienie, kamienie, słowa są ludzkie, kamienie są ponadludzkie. Kamień wydaje się twardszy, mocniejszy niż głos, ale słowo można powtórzyć, kamień jest niepowtarzalny. Kamień nie jest dla słowa groźny, słowo jest kamienioodporne. Natomiast słowo — dźwięk, wielokrotnie powtarzane, wywołuje może stopniowe niszczenie kamienia, zatem słowo jest mocniejsze. Gdybym mówił, byłbym sprawcą słów, ponieważ milczę — jestem pomiędzy słowem, a kamieniem. A przecież są tu jeszcze drzewa, obłoki, ludzie milczący i mówiący, jest wiatr, namacalny, gdy zamykam oczy. Wydaje mi się jednak, że moja sprawa rozgrywa się pomiędzy słowem i kamieniem — może sprawa każdego człowieka, który przybył nad strumień z wielkiego miasta. Słowa znaczą, kamienie tylko istnieją. Niczego nie trzeba wybierać, można wypocząć — bez wyboru, bez ostatecznej decyzji, całkowicie. Tylko, że ktoś mówi obok mnie, nade mną. Są to bezustanne słowa, ciche, nie takie, jak słowa: „Ognia!", „Naprzód!", „Kryj się!". Ktoś mówi: „Napij się wody, jesteś spragniony, napij się najczystszej wody ze strumienia". Wstaję i podchodzę boso, kamienie kłują mnie w nogi. Pochylony piję strumienną wodę. Byłem spragniony i nie wiedziałem o tym — teraz napojony, wygaszam uporczywe myśli. Mój organizm, człowieka wielkiego miasta, przestał dawać naturalne sygnały, ktoś mi musiał powiedzieć, że jestem spragniony, że powinienem pić czystą wodę. Strumień płynie kamiennym podłożem — nad nim brzmią słowa. Między słowem i kamieniem przepłynęła woda.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Polski dowcip językowy

CZY MAMY POCZUCIE HUMORU? — TRUDNE ZDANIE — MIESIĄCE LEKTURY — CO SIĘ KOMU KOJARZY? — MECHANIZMY DZIAŁANIA — 4,5 TYSIĄCA DOWCIPÓW

Panuje dość powszechne mniemanie, że jesteśmy narodem z poczuciem humoru. Różnie z tym bywa, ale to chyba prawda. Łódzka, warszawska, krakowska ulica reaguje na zjawiska tzw. współczesnego życia dowcipnym powiedzonkiem, zabawnym „wicem", anegdotką... Mógłbym dać przykłady, ale po co przecież wszyscy je znamy.

Od dawna w mojej podręcznej bibliotece widnieje na pierwszym miejscu praca doktorska pani Danuty Buttler pt. „Polski dowcip językowy". Tę ponad 400-stronicową książkę czyta się ciężko, nawet bardzo ciężko. Ale jest to praca kapitalna. Najpierw jednak dowód, że książkę czyta się ciężko. Oto j e d n o tylko zdanie z pracy doktorskiej pani Buttler: „Elementy strukturalne zasadniczych typów żartów słownych — o mechaniźmie ogólnokomicznym i o kompozycji swoiście językowej — są nieprzekładalne na środki synonimiczne, ale dowcipy o technice wyłącznie językowej nie dają się ponadto transponować na elementy obcojęzyczne, są niemożliwe do przetłumaczenia, ponieważ wiążą się z wyzyskaniem cech formalnych i znaczeniowych wyrazów określonego języka lub proporcji i współzależności właściwych pewnemu systemowi leksykalnemu, nie powtarzających się w innym",

Chodzi o to, że dowcip językowy nie da się opowiedzieć w sposób inny niż został zbudowany ani przetłumaczyć ze względów oczywistych. Pani doktor napisała to nieco bardziej zawile, ale to przecież praca naukowa.

„Polski dowcip językowy" jest jednak pracą kapitalną. Rozprawa naszej uczonej oparta jest na 4500 przykładach pochodzących z 27 roczników czasopism satyrycznych i 25 pozycji książkowych, które wydano od roku 1900. To nie bagatelka! Zanalizowano tu prawie 70 lat polskiego humoru.

Pani Buttler twierdzi, że dowcip językowy nie da się przetłumaczyć. To jasne. Ale pani Buttler udowadnia rzecz o wiele trudniejszą, a mianowicie, że dowcip da się filologicznie w y t ł u m a c z y ć. To nic, że analizy zabijają dowcip — praca doktorska nie jest antologią humoru i satyry, jest natomiast naukową rejestracją zjawiska.

I muszę przyznać, że choć w pierwszych miesiącach czytania (tak, tak!) owe analizy wielce mnie śmieszyły, to z upływem czasu czytam je z coraz większym zainteresowaniem. Znajduję w nich bowiem niczym w szkolnym rozbiorze zdania — wszystkie cząstki mechanizmu humoru, wszystkie szwy i podszewki, wszystkie trybiki i kółka...

„Planoroby" mówi się ironicznie o ludziach... Właśnie? Wyrabiających plan? Tak, ale wyrabiających plan z myślą o planie wyłącznie, o suchej cyferce w statystyce. Jest to określenie negatywne, ale dlaczego tak się nam ono kojarzy? Odbiorca — pisze pani Buttler — mimo woli i podświadomie wiąże zabarwienie ujemne tego neologizmu ze znanymi, zdecydowanie negatywnymi określeniami o identycznej budowie leksykalnej — groszoroby, brakoroby...

Na podobnej zasadzie kojarzenia powstały takie neologizmy jak „s o d o w o g ł o w i e" — oczywiście od wodogłowie, albo „k r e t y n o w i s k o krytyki" — od kretowisko. Nie śmieszy nas powiedzenie o bezmiesznym poniedziałku, ale uśmiechniemy się jeśli ktoś powie — „Poniedziałek bezteatralny". To tamten kontekst nadaje temu drugiemu określeniu zabarwienie żartobliwe, komiczne.

Pani Buttler nie śmieje się z dowcipów. Pani Buttler je r o z g r y z a. Kiedyś pewien recenzent pisząc o „Polskim dowcipie językowym" pytał — „czy książki o humorze nie można było napisać mniej hermetycznym językiem?". Może. Ale wydaje mi się, że jednak nie byłoby sensu pisać takiej książki.

Rzecz ciekawa — większość z 4,5 tysiąca dowcipów zawartych w tej książce zetlało, zwiędło, zestarzało się i zblakło. Lecz analizy i rozbiór, naukowa, chirurgiczna niemal wiwisekcja pozostaje wciąż bezsporną wartością tej pracy. Dowcip może przestać nas śmieszyć — komentarz do owego ulotnego „wicu", choć koturnowy i hermetyczny, pomaga nam uświadomić sobie m e c h a n i z m, zasadę działania. A przecież o to autorce chodziło.

Piszę to wszystko nie tylko dlatego, że wciąż na nowo odkrywam uroki tej kapitalnej pracy, ale także dlatego, że przed laty pozwoliłem sobie na żartobliwą i nieco złośliwą notkę na temat „Polskiego dowcipu językowego". A jednak nie miałem racji — książka nie zasługuje na żarty, choć mówi wyłącznie o żartach.

Czy tylko zresztą o żartach? Pani Buttler kończy swą książkę opinią, że analiza dowcipu mogłaby być pewnym przyczynkiem — a myślę, że przyczynkiem niemałym — do badań nad mechanizmem mowy w ogóle, nad procesem jej rozumienia. Tak chyba jest, taki wniosek nasuwa się przy upartej wielomiesięcznej lekturze „Polskiego dowcipu językowego". I w tym miejscu kończą się żarty, bo z mową dzieją się dziwne rzeczy i często przestajemy się rozumieć, albo rozumiemy się inaczej. A książka pani Danuty Buttler, choć — wydawałoby się — napisana trudno i niezrozumiale — pomaga nam, o paradoksie, pojmować owe procesy rozumienia mowy.

JERZY WIDOK

JOSEPH COMMINGS

SINOBRODY

(Dokończenie)

Następnego dnia, w trybunale, zbliżyłem się do ławy sędziów i oświadczyłem, że mam ważne informacje, które decydująco za ważą na wyniku procesu. Zażądałem, aby mi zezwolono złożyć przysięgę. Ponieważ tak oskarżyciel publiczny jak i obrońcy oczekiwali zeznań po ich myśli — moje żądanie zostało przyjęte.

Adwokat Barney Stone spojrzał na mnie niechętnie. — Niech pan powie, co pan chce, ale jak najjaśniej, panie Commings — nakazał.

Oczy wszystkich obecnych były utkwione we mnie, gdy zacząłem mówić.

— Wysoki Sądzie i wy, panowie przysięgli! Ten młody człowiek, Percy Young, pochodzi ze starej i szanowanej rodziny. W jego rodowodzie nie ma żadnej plamy. Ojciec Percy'ego jest jednym z najsławniejszych chirurgów w sprawach chorób mózgu i wszystkie głośne kliniki ubiegają się o jego współpracę. Percy miał zamknięte usta, aby ochronić swego słynnego ojca.

Przerwałem na chwilę i rozejrzałem się po sali. Adwokat Stone cofnął się o krok, wydawało mi się, że się zachwiał. — Chyba pan nie chce powiedzieć, że ojciec oskarżonego jest seksualnym maniakiem, który zabił te wszystkie kobiety? — krzyknął.

Istotnie, jako obrona ten argument byłby co najmniej zadziwiający. Uśmiechnąłem się, nachwilę rozkoszując się pełnym napięcia oczekiwaniem publiczności.

— Nie, doktor Younk nie jest maniakiem — oznajmiłem — ale nie jest maniakiem także jego syn, Percy!

— A więc... kim jest? — wyjąkał adwokat zupełnie wytrącony z równowagi.

— Postaram się to wyjaśnić. Miłość do medycyny jest wrodzona u Yongów i także Percy potajemnie uczęszczał na wydział medycyny, aby zostać lekarzem! Ojciec był temu przeciwny.

Szmer przeszedł po sali.

— Percy chciał zostać słynnym chirurgiem, rywalizować ze swym znakomitym ojcem. Studiował bez wytchnienia, nie oszczędzając się...

...aż mu się mózg osłabił — podpowiedział adwokat, chcąc pomóc sprawie swego klienta.

— Nie, nic podobnego — zaprzeczyłem. — Nocą na samotnym poddaszu, w domu pani Hutton, poświęcał się studiom anatomii ludzkiej. To co znaleziono w jego kufrze, to były części zwłok już sekcjonowanych w uczelni medycznej.

— Czy pan chce powiedzieć.. — tym razem adwokat Stone naprawdę słaniał się... — że Percy Young nie zabił nikogo?

— Ani razu? — zasyczał prokurator okręgowy.

— Ani razu — stwierdziłem. — Moje zeznanie potwierdzić może wydział medycyny, na który Young uczęszcza. Oskarżony nie popełnił żadnej zbrodni!

Na sali powstała wrzawa, publiczność była podekscytowana. Sędzia uderzał młotkiem w stół, jakby chciał uderzyć prokuratora okręgowego, za to, że naraził go na stratę cennego czasu. Prokurator wstał i wybiegł do swego pokoju.

Odejście prokuratora wywołało głośne śmiechy audytorium. Tak więc wszystko odbyło się jak w komedii kryminalnej pokazywanej w telewizji.

Percy został skreślony z wydziału medycznego, ponieważ przekroczył przepisy zabierając do domu części zwłok. Ale obróciło się to na jego korzyść, ponieważ absolwent medycyny zarabia sześćdziesiąt dolarów na miesiąc, podczas gdy Percy po niezwykłej reklamie, jaką mu zrobiły gazety, jest rozrywany przez telewizję ciągnąc z tego olbrzymie zyski.

Ale i ja też nie mogę się skarżyć, gdyż po obronie Younga interesy mojej agencji detektywistycznej znacznie wzrosły.

Oprac. A. S.

Fot. A. Wach

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

■ **Dla podróżujących** — „Medytacje zgniecionego pasażera" ■ **Dla prawników** — „Piskorz w kajdankach" ■ **Dla wszystkich innych** — „Pasaż w środku miasta", „Niemen i... Norwid", „Projekty a życie" oraz nowela kryminalna, felietony itp.

TIM MORRISON

Porwanie

Był to pierwszy dzień, kiedy lekarze w szpitalu zdecydowali, że pani Nice Willmont może już czytać gazety, ponieważ nastąpiła poprawa w stanie jej zdrowia. Pacjentka przed tygodniem dostała zawału serca, gdy po pięciu dniach nieobecności córki ktoś nieznany zatelefonował, że Gloria została porwana. Szantażysta żądał za zwolnienie dziewczyny stu tysięcy dolarów.

Panna Willmont, ładna 19-letnia blondynka, korzystając z pieniędzy zamożnej matki, prowadziła dość swobodny tryb życia i w domu przyzwyczajono się do częstej jej nieobecności. Tak było i tym razem, lecz telefon kidnapera przeraził matkę i chore serce nie wytrzymało ciosu. Tymczasem o porwanej nie było żadnych wiadomości. Policją szukała przestępcy i jego ofiary, radio nadawało komunikaty. Lecz chora matka czytała w prasie wciąż te same wiadomości: „Na temat porwania Glorii Willmont policja nie może jeszcze nic powiedzieć".

Tak wyglądały sprawy, gdy pewnego dnia jakiś mężczyzna zatelefonował do kliniki i poprosił o rozmowę z panią Willmont. Telefonistka centrali, miss Annie Rowland, połączyła się z sypialnią chorej.

— Czy pani Nice Willmont? — zapytał mężczyzna.

— Tak, to ja — odpowiedziała pacjentka, blednąc. Poznała głos szantażysty.

— Proszę już nie przygotowywać pieniędzy. Czy pani wie, gdzie jest córka? W grobie, pogrzebana przed kilku godzinami. Nie mogłem inaczej postąpić. Rozpoznała moją twarz, wiedziała kim jestem, nie mogłem ryzykować. — Mężczyzna położył słuchawkę.

Telefonistka, przysłuchująca się rozmowie wydała okrzyk przerażenia. — Pani Willmont! Pani Willmont!... — Zgłosiła alarm do mikrofonu.

Gdy lekarz wszedł do pokoju Nice Willmont, pacjentka już nie żyła. Stwierdzono atak serca.

Popołudniowe gazety wyszły z wielkimi tytułami: „Gloria Willmont zamordowana. Jej kat zabił także matkę".

Zmobilizowano całą policję w Rock Island, przybyło także pogotowie FBI. Pewnego dnia, gdy sierżant Gey chciał udać się do domu, przed komendą policji zatrzymało się kremowe auto. Wysiadła z niego dziewczyna w spódniczce mini, weszła do biura i rzekła:

— Pragnę rozmawiać z sierżantem Arturem Geyem.

Dyżurujący policjant spojrzał na nią zdziwiony, jakby zobaczył upiora. Do diabła, przecież tę twarz oglądał już od wielu dni na pierwszych stronach wszystkich dzienników!

— Jestem Gloria Willmont! — oznajmiła dziewczyna.

— Poznaliśmy panią — odpowiedział sierżant. Także i on był wstrząśnięty. — Proszę wejść dalej. — Wprowadził Glorię do swego gabinetu, dziewczyna usiadła. Była blada i zmęczona, ręce jej drżały. Wyjęła z torebki paszport i prawo jazdy.

— Co pani robi? — zapytał sierżant.

— Chcę panu pokazać moje dokumenty, aby udowodnić, że jestem Glorią Willmont, żywą, a nie jej sobowtórem.

— Czy pani wie, co się wydarzyło matce?

— Dowiedziałam się o tym dziś rano, gazety przychodzą do Meksyku z opóźnieniem, a w ogóle nie czytałam gazet. Przypadkowo zobaczyłam tytuł artykułu o mnie i natychmiast przyleciałiśmy samolotem — Nat i ja.

— A więc porywacze uprowadzili panią do Meksyku?

Dziewczyna pochyliła się do przodu i wyskandowała: — Nikt mnie nie porywał. Pojechałam do Meksyku z Natem Kampi, aby go poślubić, jestem teraz mężatką. Nat jest ze mną, czeka na mnie na dole, w samochodzie.

Sierżant kiwał głową, myśląc o dzisiejszej młodzieży, która się z niczym nie liczy. — Szkoda, że pani nie zawiadomiła matki!

— Nie rozumiałyśmy się. Matka nie zgodziłaby się na mój ślub z Natem, nienawidziła go. Co pan ma zamiar czynić, sierżancie? Ktoś rozmyślnie zabił moją matkę. Ten człowiek znał jej stan zdrowia, chore serce, nienawidził nas obie.

Dokończenie w następnym numerze

Lewym okiem

Jak obliczać pogłowie turystów?

O turystyce pisze się bardzo wiele, turystyka jest fenomenem naszych czasów. Przed tysiącami lat prymitywne grupy ludzkie wędrowały po świecie za zwierzyną, trochę później pasterze przepędzali swe trzody z miejsc wyjałowionych na inne, bogatsze w paszę. Wędrowały hordy zbójeckie, potem wielkie ciągi zdobywców, odkrywców, eksploratorów, pionierów. Wędrowały milionowe rzesze pielgrzymów do miejsc świętych. Turyści wędrują dla samego wędrowania, to jest nowość w dziejach ludzkości.

Pisze się o niej bardzo wiele, a zawsze tak: brak hoteli, gospód, urządzeń sanitarnych, noclegowych, biwakowych. Gdyby nie te braki — turystów byłoby więcej.

A jednocześnie zawsze pisze się tak: najazd turystów dewastuje przyrodę, zabudowuje najpiękniejsze ustronia banalnymi blokami, całymi miastami z dymem, kurzem, wrzawą i benzyną, zaśmieca lasy, truje jeziora, zagłusza dostojną ciszę natury nieznośnym wrzaskiem i gonitwą.

Te dwie dominanty publicystyki turystycznej są oczywiście wzajemnie sprzeczne, są jeszcze jednym dowodem pchania się całego świata w ślepą uliczkę spraw nie do rozwiązania, procesów nie do odwrócenia.

Te same dominanty widzę w artykule E. Skalskiego o Mazurach, zamieszczonym niedawno w „Kulturze". Niejaką nowością (w druku, bo w rzeczywistości to przecież żadna rewelacja) jest informacja, że źródłem największych rynków i nieustannego wrzasku w okolicach Mikołajek jest ośrodek PTTK, czyli ośrodek instytucji, która ma na celu szerzenie kultury współżycia człowieka z przyrodą. Informacja ta zresztą niczego w niczym nie zmieni, nadal nie dosłyszymy już nigdy nigdzie zwyczajnego szumu drzew, gwizdania wilgi i kukania kukułek bez akompaniamentu motorów i tranzystorowych odbiorników.

Artykuł w „Kulturze" mówi o liczbach turystów na Mazurach. Ciekawy jestem niezmiernie, jak się takie liczby ustala. Skąd wiadomo, że przez powiat Giżycki przewija się ok. pół miliona wędrowców, a każdy średnio bawi tu 3 doby? Skąd wiadomo, że trzeba zorganizować dowóz żywności na półtora miliona osobo-dni dodatkowo? Przecież turyści nigdzie się nie meldują, nikt ich nigdzie nie liczy, nie fotografuje z helikoptera, nie rejestruje. To już łatwiej policzyć sarny w lasach, bo przychodzą do wodopoju i do karmników, zresztą leśniczowie znają je i wołają nieomal po imieniu. A turyści?

Być może, nikt poza prasą nawet nie próbuje oszacować ich liczby i może dlatego nigdy nie wystarcza chleba, parówek i szklanek z herbatą. Kolejki do sklepów i kiosków, nie mówiąc o gastronomii, są w miejscach nawiedzanych przez turystów siódmym kręgiem udręczeń. Jak by tu zadziałać, jak stworzyć przesłanki do planowego zaopatrzenia „odnośnych" rejonów?

Może by zbierać po lasach i wertepach butelki po wódce? Jedna półlitrówka to średnio dwóch turystów jednego dnia. Przemnożywszy odpowiednio...

Może liczyć ślady po ogniskach niedzielnych? Jedno ognisko to autokar, czyli pięćdziesiąt osób z uspołecznionego zakładu pracy. Przemnożywszy odpowiednio...

Można by oprzeć szacunek na ilości pudełek po papierosach, na liczbie wypadków drogowych (jest przecież jakiś średni przydział wypadków na każdy tysiąc osób, więc odwróciwszy ten rachunek...) na tonach papieru gazetowego (po śledziach, ogórkach i „kanapkach"). Można by przeankietować sprzedawców w kioskach z pieczywem, ile razy dziennie odpowiadają „nie ma"... Nie, nie można. Sprzedawcy przecież nie odpowiadają, tylko zamykają interes. To jest zresztą prawidłowa, logiczna metoda.

Można na szosach dojazdowych ustawić harcerzy, niech liczą. Sumować bilety PKP i PKS sprzedane na odnośne trasy. Dodać dziesięć procent na ludzi chodzących obok ścieżek. Mnie już dodawać nie trzeba. Ja jadę gdzie indziej.

Bez tranzystora, za to z zapasem sucharów i kabanosów. Na kukułki.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-93 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1556. H-4.